POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 19-go lutego 1944r.*** — **Rok VI. Nr. 7**

KRAJ I EMIGRACJA

Jednym z najbardziej rzucających się w oczy zjawisk na emigracji jest jej przesadny i najczęściej niewłaściwy samokrytycyzm. Przeradza się on często w pewnego rodzaju uraz psychiczny. Uraz ten dało by się zamknąć w kilku następujących zdaniach:

"Co o nas myślą w Kraju," "Jak nas przyjmą w Kraju," "Jesteśmy gorsi niż ci, którzy zostali w Polsce," "Jesteśmy gorsi, ponieważ powodzi się nam dobrze i nie mamy możliwości walczyć, podczas gdy bracia nasi w Kraju żyją w ciężkich warunkach i są narażeni na największe niebezpieczeństwa."

Tego rodzaju podchodzenie do zagadnienia "Kraj i emigracja," jestem tego pewien, jest nie tylko niewłaściwe, ale nie ma podstaw, a co gorsza musi paraliżować wolę i myśl emigracji.

Przede wszystkim, moim zdaniem, wyolbrzymiony samokrytycyzm i samooskarżanie się emigracji nie ma wiele słuszności. Emigracja obecna brana jako całość, a nie poszczególnymi środowiskami czy grupami, nie jest na pewno taka zła, jak sama o sobie myśli. W porównaniu historycznym można zauważyć to szczególnie dokładnie.

Wszystkie poprzednie nasze emigracje, po powstaniu kościuszkowskim, listopadowym, styczniowym, były emigracjami elitarnymi /najbardziej czynny, bojowy, zaangażowany w walce i w polityce element wyszedł z Kraju/. Obecna emigracja ma charakter przypadkowy, mechaniczny. O tyle zatem obecna emigracja mogłaby w swej pracy i sylwetce moralno-politycznej stać niżej od emigracji poprzednich.

Ale w poprzednich emigracjach mieliśmy zawsze po parę wielkich orientacji politycznych—obecna emigracja wytrwała przy jednej, zasadniczej orientacji, w zgodzie i w harmonii z Krajem.

Nie należy zapominać, że obecna nasza emigracja zdołała utrzymać, kontynuować ciągłość władz państwowych—co bynajmniej mogło nie być takie proste. Została dwukrotnie zorganizowana armia polska, utrzymano ścisłą już nie tylko ideologiczną, ale polityczną i organizacyjną łączność z Krajem, a w szczególności z Ruchem Podziemnym. Kraj ani przez moment nie poddał w wątpliwość konstytucyjności i legalności władz emigracyjnych — przeciwnie, potrafił sam stać się częścią państwowej machiny, uznając, że szczyty jej są tutaj: na emigracji.

Jeżeli porównuje się z t.zw. emigracją tych ludzi, którzy zostali w Kraju i z takim zaparciem się siebie walczą w ramach ruchu podziemnego, nasuwa się następujące spostrzeżenie. Bez najmniejszej wątpliwości, olbrzymia większość tych, którzy żyją na obczyźnie, pielęgnując w sobie jakiś kompleks upośledzenia, gdyby znajdowali się w Kraju, robiliby to samo i tak samo, jak ci, których stąd podziwiamy i do których biegną stąd najserdeczniejsze nasze myśli i najlepsze nasze uczucia. Gdyby z kolei, zrządzeniem losu, tamci znajdowali się przez kilka lat na obcym terenie, gdyby przeszli te wszystkie wstrząsy, które przechodzi każdy z Polaków wyrzuconych we wrześniu 1939 z własnego Kraju, gdyby sercami ich szarpało to samo uczucie tęsknoty za Krajem i za najbliższymi, gdyby tak samo często i długo odczuwali bezradność swoją wobec tego co się dzieje — niewątpliwie posiadaliby te same słabości, te same załamania, te same wynaturzenia.

Różnice duchowe, moralne, polityczne między Krajem i emigracją, jeśli są—stwarza los, rozwój wypadków, różnica w skali i warunkach życia. Nie należy pomagać jednak w tym względzie losowi. Nie należy różnic tych pogłębiać. W szczególności, nie należy pielęgnować w sobie owego kompleksu niższości, ani patrzeć na ludzi w Kraju, jak na istoty nie z tej ziemi, a na siebie, jak na grzesznych cierpiętników. I tu i tam są Polacy, ci sami, tacy sami, z tej samej krwi, tej samej ziemi, tego samego szczepu. Tamci lepiej pracują, ofiarniej, na pewno dokładniej—oczywiście—bo lepiej pracujemy, gdy warunki są trudne czy beznadziejne pozornie. Tacy już jesteśmy.

Często ludzie zadają sobie tutaj pytanie: "czego Kraj oczekuje od emigracji?" Odpowiedź jest na to prosta—jakże mogłoby być inaczej. Ludzie w Kraju czekają i wierzą, iż emigracja przywiezie im Europę, to znaczy wyższy poziom życia na każdym szczeblu.

Dlatego, choć zabrzmi to może fałszywą nutą, można powiedzieć, iż przestępstwo wobec własnego narodu popełnia każdy z tych Polaków, który nie wykorzystuje wszystkich sposobności, aby wzbogacić się duchowo przez swój pobyt zagranicą. Można by zaryzykować stwierdzenie, iż jak nigdy przedtem, pierwszym obowiązkiem każdego Polaka, czy jest to minister czy woźny, generał czy szeregowiec, inżynier czy robotnik, bez względu na to, czy jest w wojsku czy w życiu cywilnym—pierwszym jego obowiązkiem jest pracować, uczyć się, uczyć się, uczyć się.

Jedną z największych naszych słabości w pierwszym okresie niepodległości będzie olbrzymi ubytek inteligencji, brak elementu fachowego, niezbędnego dla życia państwowego. Terror okupanta, następstwa podziemnej z nim walki, głód, wyczerpanie i tp. sprawią, iż braknie nam olbrzymiej ilości elementu przywódczego zarówno z życia politycznego, jak i zawodowego, gospodarczego, kulturalnego, religijnego i t.p.

Tutaj właśnie wyłania się rola emigracji. Niezależnie od bieżących prac, każdy człowiek przebywający poza ziemiami polskimi i żyjący mniej więcej w warunkach normalnych, powinien wziąć pod uwagę, iż jak w żadnym innym okresie życia polskiego, jest odpowiedzialny wobec społeczeństwa za to wszystko, co skorzysta, czego się nauczy, co uzupełni w czasie kilkuletniego pobytu na obczyźnie. Każdy Polak powinien patrzeć na siebie, jak na tego, który będzie musiał mieć w swoim zakresie pracy zupełnie nieograniczone możliwości po przyjeździe do Kraju. I to zdobywanie wiedzy, doświadczenia w każdej dziedzinie stało się obecnie już nie tylko obowiązkiem wobec samego siebie. Jest to najprawdziwszy obowiązek wobec sprawy polskiej.

Odnosi się to do wszystkich Polaków bez względu na to gdzie, i na jakim szczeblu pracują. Politycy muszą przywieźć do Kraju wyższy styl życia politycznego, wojskowi—wyższy poziom wiedzy wojskowej, społecznicy—większą moralność i lepszą organizację życia społecznego, urzędnicy — większą znajomość swych obowiązków, fachowcy — najwięcej z tego co Zachód już zdobył a u nas jeszcze było nieznane. I to jest zadanie, które powinno pochłaniać każdego z nas. Ludzi w Kraju mało obchodzi, że jemy tu trzy razy dziennie, mamy spokój i dobre warunki — nauczyli się mieć za dobre serca na to, jeśli przedtem tych dobrych serc nawet nie mieli. Obchodzi ich jednak z czym emigracja przyjedzie, co wniesie w życie państwowe, o ile uzupełni straty. Dobre warunki, i spokój, w jakich żyje emigracja są raczej elementem dodatnim. Właśnie o to chodzi, żeby wrócili ludzie wypoczęci, normalni, odżywieni, byle ludzie moralni, z dużym zasobem wiedzy i wartości.

Bardzo często można spotkać się tu, na emigracji, z tego rodzaju zdaniami jak: "Kraj o tym zadecyduje," "Kraj to ustali," "Kraj rozplanuje," i t.p. W całym szeregu dziedzin pracy emigracja świadomie oczekuje, czy zasłania się tym, że bez Kraju nie można pewnych rzeczy załatwiać.

Naturalnie, dużo jest w tym słuszności. W zasadniczych sprawach ustroju państwowego Kraj ma głos pierwszy i jedyny. Nie mniej jednak odkładanie przez emigrację całego szeregu prac na później, spodziewanie się, iż z "Kraju przyjdzie światło," iż "Kraj to załatwi" — skrywa w sobie dwa motywy, dwa elementy. Oba niestety, przemawiają na niekorzyść takiego stosunku do spraw zbiorowych.

Po pierwsze ludzie, którzy tezę taką wysuwają, chcą być może w ten sposób uniknąć zarówno odpowiedzialności, jak i wysiłku politycznego czy umysłowego. Wolą czekać, niż robić. Nie trzeba dodawać, jak niebezpieczny jest ten sposób myślenia.

Po drugie, t.zw. emigracja /jestem tego pewien/ sama najczęściej nie zdaje sobie sprawy, jak olbrzymią rolę odegra w pierwszym okresie niepodległości — niezależnie zresztą nawet od jej wartości i kwalifikacji. Proces ten będzie procesem już nawet nie politycznym ani moralnym, ale po prostu procesem mechanicznym.

Wszak jak już podkreśliłem, mamy olbrzymi ubytek przywódczego elementu we wszystkich niemal dziedzinach życia państwowego. Ci, którzy się ostaną nawet — będą to ludzie w dużej mierze wyczerpani, wygłodzeni, przedenerwowani, częściowo niezdolni przejść bezpośrednio do normalnej pracy państwowej. Będą to ludzie, którzy mieli odwagę i serce walczyć i cierpieć przez cztery czy pięć lat, ale jednocześnie nie mieli ani warunków, ani możliwości, ani /trzeba to powiedzieć/ nerwów i sił, aby uzupełniać swe wykształcenie, kwalifikacje, aby podciągać się wyżej politycznie, zawodowo, kulturalnie i t.d. Wniosą oni na długą metę do życia państwowego charakter, zdolność do poświęcenia, uczciwość — nie mniej w pierwszym okresie niepodległości wysokie kwalifikacje, wiedzę, spokój, siły fizyczne, płuca bez gruźlicy, serca bez wad, nerwy nie roztrzęsione, żołądki normalnie funkcjunujące — musi i powinna przywieźć emigracja.

Nie jest to zadanie małe — nie należy go bagatelizować. I zamiast cierpieć na jakiś dziwaczny kompleks niższości, zamiast oglądać i zasłaniać się w pracy Krajem, każdy z nas skoro jest i żyje w warunkach prawie normalnych, powinien mieć na uwadze dwie zasadnicze rzeczy. Formułują się one tak — najdosłowniej jest to punkt widzenia przywódców w Kraju.

Pierwsze: "Jestem na stypendium, mam zapewniony pobyt zagranicą na długie lata, nie dzięki moim zdolnościom, ale przez upadek mojego Państwa. Opłacają moje stypendium tysiące cierpiących braci w Kraju. Muszę tak żyć i tak pracować, ażebym w najwyższym stopniu zdołał stypendium to wykorzystać. Muszę je wykorzystać nie dla siebie, ale dla Państwa, które będzie mnie i moich kwalifikacji, jak nigdy przedtem, potrzebowało."

Drugie: "Pracuję, jak mogę najlepiej na tym odcinku, na którym moje kwalifikacje czy sytuacja mnie postawiła, bez oglądania się na kogolwiek, bez względu na ogólną sytuację. Ci, którzy są w Kraju więcej mają okazji i możliwości, ażeby walczyć i umierać, aniżeli normalnie pracować i podnosić się na wyższy szczebel techniczny."

Naturalnie, nie możemy zapominać, iż emigracja żyje w czasie wojny i w ogniu wojny. Nie czas jest na studia, gdy walą się państwa i giną narody. Szczególnie Naród Polski oddaje w tej wojnie wszystko, co ma i wszystko co może oddać. Podczas gdy wszystkie siły w Kraju rzucone są do walki z okupantem, utrzymujemy zagranicą duże stosunkowo siły zbrojne, zaszeregowując w nie olbrzymią większość Polaków i Polek. I w tym fakcie — nie ma potrzeby ukrywania tego — jest wyraz naszej bezkompromisowości i prostej linii w tej wojnie: "oddać dla zwycięstwa wszystko co się ma."

Naturalnie, nie można rozpuszczać i likwidować armii, nie można posyłać wszystkich do szkół, uniwersytetów, fabryk, na praktyki — nie można robić "business'u" z okazji pobytu na tej wyspie. Z drugiej strony utrzymywanie ciągłości państwowej wymaga olbrzymiej ilości ludzi, placówek, biur, urzędów. Bieżąca praca pochłania wielu z tych ludzi do tego stopnia, iż trudno przyjąć, że mają czas na studia.

To też rozwiązanie tej sprawy może leżeć tylko w zdrowym i moralnym kompromisie: Niech będzie armia, niech żołnierze robią wszystko, by stanąć na odpowiednim poziomie technicznym — póki jednak ta armia nie walczy, niechże każdy w niej nie tylko ma możność uzupełniania swej wiedzy z życia cywilnego, ale niech zostanie na niego nałożony w tym względzie obowiązek.

Niechże działają wszystkie biura, urzędy i instytucje — jednocześnie niech każdy pracownik i każda pracownica mają dane nie tylko możliwości, ale nałożony obowiązek wykazania się pracą pozabiurową w tej dziedzinie, w której będą pracowali w przyszłości w Polsce.

Czy chcemy czy nie chcemy, każdy z nas stanie kiedyś wobec zapytania w Kraju: co pan przywozi, kogo i ilu może pan ze swoim zdrowiem i ze swymi siłami zastąpić?

Chodzi o to, ażeby odpowiedź nie rozczarowała tych, którzy zapytają. O to przede wszystkim chodzi.

JAN KARSKI

ARTUR HOROWICZ: W podziemnej drukarni



Szkic sytuacyjny

NIE WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO RZYMU

Boje na przyczółku pod Anzio srożą się. Ataki niemieckie przeprowadzane z furią sprawiły, że w pewnej chwili obszar zajęty na wstępie przez sojuszników skurczył się o połowę i że działa niemieckie poczęły ostrzeliwać porty w Anzio i Nettuno. Sojusznicy wyparci zostali z Via Appia, na której już się znajdowali. Koncentracja ognia niemieckiego była tak wielka, że liczne stanowiska stały się niemożliwe do utrzymania.

Wydaje się, że błędem alianckiej strategii było stworzenie zbyt wąskiego przyczółka. Nie posunięto się od razu na pierwszej fali głęboko w ląd, aż pod Rzym. Zamiast tego zajęto niewielki obszar biegnący łukiem i przypierający do błot pontyjskich. Umocniono ten obszar, potworzono lądowiska i stracono wiele cennego czasu, w czasie którego wojska niemieckie zostały przerzucone w znacznych ilościach; Niemcy podsunęli ciężkie działa na lorach kolejowych i sojusznicy znaleźli się pod ogniem. Teraz dopiero szczupłość przyczółka, czy jak Anglicy mówią *beach-head*, stała się nieprzyjemnie oczywista. Na tak niewielki obszar można było "pompować" straszliwe ilości pocisków artyleryjskich. Tak się też stało i pod ogniem wroga wojska sojusznicze musiały się cofać.

Wolno przypuszczać, że celem ataku spod Anzio była nie tylko wola pochwycenia Rzymu, ale również zmuszenie linii pod Cassino do odwrotu. Jeżeli był taki zamiar, to na razie się nie powiódł. Linia niemiecka pod Cassino nie drgnęła, raczej przeciwnie, Niemcy przeszli do przeciwuderzeń. Cassino stało się widownią zażartych walk.

W chwili, gdy piszemy te słowa mamy przed oczyma oświadczenie złożone przez Downing Street, czyli przez siedzibę premiera Churchilla. W oświadczeniu tym Premier, zdając sobie w pełni sprawę z wielkiego zaniepokojenia i rozgoryczenia ogółu porażką pod Anzio, zaznacza, że przywódcy brytyjscy są pewni, iż uda się utrzymanie przyczółka, że — co więcej — marsz na Rzym zostanie podjęty i uwieńczony powodzeniem. Obaj dowódcy brytyjsc— a zatem generałowie Wilson i Alexander zapewniają premiera brytyjskiego, że przewaga czołgów i artylerii jest po stronie sojuszników i że dowóz wszelakiego sprzętu postępuje. Przypuszczać należy, że również lotnictwo przejawi swoje działania bardziej stanowczo. Warunki pogody są przypuszczalnie złe, a nawet fatalne. Roosevelt w czasie swojej narady prasowej zaznaczył, że "modlimy się o lepszą pogodę," jak i to, że "sytuacja na przyczółku jest bardzo poważna" */very tense/*.

Miejmy nadzieję, że istotnie władze wojskowe sojuszników zrobią wszystko, ażeby uratować stan posiadania pod Anzio, ażeby zasilić na czas przyczółek w ludzi, sprzęt, ażeby pchnąć naprzód kolumny czołgów, albo też starać się o rozszerzenie *beach-head*. Ogólne natarcie we Włoszech wydaje się koniecznością, jeżeli chcemy ożywić ten front dziwnie pechowy. Możliwości nowego lądowania nie są wykluczone: sami Niemcy wspominali parę dni temu o możliwościach lądowania pod Rimini. Wojska polskie — tak sugerowała jedna z rozgłośni niemieckich — znajdujące się obecnie we Włoszech miałyby zostać rzucone pod Rimini.

BADOGLIO PRZEJMUJE WŁADZĘ

Sojusznicy oddali marszałkowi Badoglio obszar południowych Włoch z dziesięciu milionami ludności. Badoglio za pośrednictwem rozgłośni w Bari podziękował sojusznikom za ten gest przyjaźni, zaufania, wielkoduszności. Sprawa rządu włoskiego przedstawia się dalej osobliwie, albowiem Sforza i towarzysze atakują rząd i króla i domagają się ustąpienia monarchy. Na razie sojusznicy nie wypowiadają się w tej sprawie. Uważają oni, że przed zajęciem Rzymu nie ma celu rozważać tych spraw.

Rząd Badoglia otrzymuje poparcie aliantów także i w innych sprawach: i tak n.p. Anglia zażądała niedawno od Hiszpanii, ażeby uwolniła jednostki floty wojennej i marynarki handlowej Włoch, przytrzymywane przez Hiszpanów, mimo to, iż Hiszpania uznała rząd Badoglia. Interwencja ta dała skutek, albowiem Hiszpania zwalnia stopniowo te jednostki z "aresztu" w portach.

NACISK NA HISZPANIĘ

W ostatnich tygodniach rządy W. Brytanii oraz USA dokonały szeregu posunięć mających na celu wytłomaczenie Hiszpanii, że powinna ściślej przestrzegać neutralności. Chodzi nie tylko o t.zw. błękitną dywizję hiszpańską, która jednak dalej walczy na froncie wschodnim /przypuszczalnie jakieś resztki tej dywizji/, ale także o wspomaganie Niemiec ważnymi surowcami wojennymi. Jako groźbę zawieszono nad Hiszpanią zakaz przywozu ropy i benzyny.

Hiszpania rozumie dobrze, że jej stanowisko musi powoli dostosować się do sytuacji. Przypuszczalnie pójdzie ona na ustępstwa polityczne. "Falanga" hiszpańska będzie usuwała się w cień. Wypuści się więcej więźniów politycznych. Usunie się może zanadto pro-niemieckich ministrów. Ale Franco opiera się dalej wprowadzeniu monarchii. To przypuszczalnie przyniosłoby odprężenie sytuacji z aliantami. Może byłoby powitane przez umęczony naród hiszpański jako krok celowy. Infant hiszpański bawi w Lozannie i odbywa pono ważne rozmowy polityczne. Chodziły pogłoski, że Franco ma zamiar ogłosić się regentem i przyjąć w zasadzie myśl restytucji monarchii — przy czym jednak termin odbudowy monarchii wyznaczyłby sam.

ZMIANY W FINLANDII?

Z drugiego krańca Europy, Finlandii, nadchodzą wieści, które świadcza o tym, że ten kraj chce jednak dojść do jakiejś ugody z Rosją. Wycofanie się wojsk niemieckich spod Leningradu sprawia, że Finlandia jest niebezpiecznie odsłonięta. Niemcy wyraźnie machnęli ręką na Finlandię i wie ona, że musi teraz postanowić o swoim losie. Możliwości, o jakich napomyka prasa szwedzka, że w razie gdyby Finlandia chciała zawrzeć odrebny pokój z Rosją, to spotka ją los Włoch, nie bardzo przemawiają do przekonania. Nie wiemy wprawdzie, jak poważne są siły niemieckie w samej Finlandii, ale wątpić należy, czy potrafiłyby one dokonać okupacji kraju. Wprawdzie są siły niemieckie w Norwegii, ale są one słabe, a poza tym interwencja musiałyby iść drogą okólną.

W tych warunkach Finlandia może decydować swobodniej, aniżeli Włochy Badoglia. Jak słychać, dokonano tam już przesunięć takich, jak przepędzenie pro-hitlerowskiego szefa policji, a na miejsce jego przyszedł człowiek przekonań niezależnych. Partia socjalistyczna nalega pono na podjęcie rokowań z Moskwą. Osoba premiera Tannera nie zachęca do tego rodzaju rozmów. Być może zatem, że Finlandia dokona zmiany rządu, ażeby umożliwić sobie otwarcie rozmów z Rosją. Podobno sam marszałek Mannerheim interweniował u prezydenta Ryti, ażeby podjął starania pokojowe.

Nacisk amerykański w tej sprawie istnieje, rady amerykańskie skierowane do Finlandii zostały ogłoszone w prasie oraz w radio. Finlandia patrzy jednak z niepokojem na możliwości stworzenia jakiegoś systemu bezpieczeństwa, gwarantowanego przez państwa Zachodu — dla całej Europy. Los państw bałtyckich jest dla niej ponurym memento. Jak słychać, setki tysięcy Finów szwedzkiego pochodzenia ma się udać do Szwecji. Z państw bałtyckich uciekają Bałtowie — do Prus Wschodnich.

NA FRONCIE WSCHODNIM

Wypadki na froncie wschodnim przyniosły dalsze postępy wojsk sowieckich. Ataki sowieckie idą prawie na wszystkich odcinkach. Ługa jest prawie zdobyta, ożywiły się ataki koło Witebska, niemieckie stanowiska w saku Korsunia są coraz to bardziej zagrożone, Nikopol — padł. Niemcy trzymali się najwyraźniej zbyt długo na tych stanowiskach. Chcieli oni wywieźć maksimum rudy manganowej. Przypuszczać trzeba, że dokonali rozległych zniszczeń w Nikopolu i jego kopalniach. Ale przez przeciąganie oporu sprawili, że dwie ich armie wpadły w potrzask. Nie wiemy wprawdzie jaka jest istotna siła tych jednostek — wydaje się, że w saku korsuńskim jest nie 10 ale 4 dywizje, a może tylko 2 — ale faktem jest, że wojska sowieckie zdążają do zniszczenia tych sił niemieckich.

Na Krymie jesteśmy świadkami zaczopowania paru dywizyj niemieckich, podobnie jak pod Nikopolem. Straty takie są poważne, albowiem — jak słusznie powiedział moskiewski sprawozdawca "*Timesa*" — dywizję pokiereszowaną można jednak odbudować wokoło zachowanego ośrodka, ale dywizję otoczoną trzeba skreślić całkowicie z rachunku. Te nowe Stalingrady, nawet jeżeli są w małych, czy "kieszonkowych" wydaniach, są jednak ciosem nielada — ciosem dla strategii niemieckiej, ciosem dla prestiżu armii, ciosem dla moral żołnierza.

Wydaje się, że tempo niemieckiego odwrotu zostanie przyśpieszone. Linia Odessa-Lwów jest teraz zagrożona. Jeżeli wojska niemieckie nie przeprowadzą przeciwuderzenia przed kwietniem — a źródła tureckie uważają, że Niemcy nie zdołają tego dokonać wcześniej — to w takim razie wkroczenie wojsk sowieckich szeroką ławą na ziemie polskie może być faktem w niedługim czasie.

PROPOZYCJE SOWIECKIE

Niedzielne pismo "*Observer*," który już dwukrotnie wyprzedził o 24 albo 48 godzin urzędowe oświadczenia sowieckie, przynosi dnia 13.II. na wstępie numeru doniesienie o nowych warunkach, na jakich Moskwa gotowa jest podjąć rozmowy z rządem polskim. Warunki te przedstawiają się tak oto, że linia Curzona musiałaby zostać przyjęta jako zasada rokowań, jednakże w obecnej sytuacji "Rosja nie odstąpi Polsce Lwowa." Zamiar taki miała jeszcze, jak powiada "*Observer*" w r.ub., ale dzisiaj przy zaostrzeniu tonu wobec rządu polskiego zaostrzają się także warunki. Poza tym Moskwa "żąda usunięcia kilku osób z rządu polskiego, odpowiedzialnych za sprawę Katynia."

Ten plan sowiecki wsparty jest ostrym atakiem pism sowieckich, głównie "Prawdy," na rząd polski. Jest to najostrzejszy z ataków, jakie pojawiły się w prasie sowieckiej. Rząd polski oskarżony jest o "*faszyzm*" i inne grzechy główne, podobnie absurdalne.

Wydaje się, że — jak to podkreślaliśmy wielokrotnie — wkraczamy w fazę najcięższą dla nas. Presja, jaka dokonana zostanie na nasze władze, będzie olbrzymia. Rosja uważa, że teraz przyszła chwila nie tylko postawienia żądań, ale i ich przeforsowania. Uważa ona, że militarnie jest to dla niej najlepsza chwila — nie wiemy, czy tak będzie n.p. za 8 czy 10 tygodni. Politycznie prestiż sowiecki jest również znaczny. Plan sowiecki dla Europy jest na razie — jak zaznaczyliśmy niedawno — jedynym na placu. W tych warunkach Rosja idzie "na całego." Ta ofensywa polityczna stwarza dla Polski, dla jej dobytku, dla jej myśli, a wreszcie dla samego jej niepodległego bytu warunki niezmiernie groźne.

Londyn, dnia 13.II.1944

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

8 lutego: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Nikopol.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały czterokrotnie wyprawy bombowe. Wszyscy piloci powrócili.

—W Londynie ogłoszono, że 1. b.m. z rozkazu Kierownictwa Walki Podziemnej w Warszawie zabity został szef Gestapo w Warszawie gen. Fritz Kutschera.

9 lutego: Prasa londyńska podała za radiem berlińskim, że Ósma Armia brytyjska we Włoszech została wzmocniona dwiema dywizjami polskimi.

10 lutego: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały dwie wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili po wykonaniu zadania.

—W Londynie otwarta została polska wystawa morska przez Pierwszego Lorda Admiralicji A. V. Alexandra w obecności członków Rzadu R.P. z premierem St. Mikołajczykiem na czele. Pierwszy Lord Admiralicji w przemówieniu swym powiedział: "Wobec niewielkich rozmiarów polskiej floty liczba operacji, w których polska marynarka brała udział jest wprost nie do uwierzenia, szczególnie gdy się pamięta, że niektóre z nich trwały nieustannie."

11 lutego: W Moskwie ogłoszono o zajęciu ważnego węzła komunikacyjnego, Szepetówki.

—Polskie samoloty bombowe w nocy z 10/11 patrolowały nad Zatoką Biskajską oraz wykonały inne zadania bojowe. Wszystkie samoloty polskie powróciły z tych zadań.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili.

12 lutego: Prasa londyńska podała wiadomość o wymianie listów między Churchillem a Stalinem na temat spraw polsko-sowieckich.

—W nocy z 12/13 polskie samoloty bombowe patrolowały nad zatoką Biskajską. Jeden nieprzyjacielski okręt podwodny został zaatakowany. Wszystkie polskie załogi powróciły do baz.

13 lutego: Ogłoszono w Moskwie o zdobyciu Ługi, na linii kolejowej Leningrad-Psków.

Wojna na morzu

MARSHALLE I KURYLE

Operacje amerykańskie na Wyspach Marshalla przybrały formę aero-amfibijną. Charakterystyczne, że w pierwszej fazie marynarka amerykańska nie poniosła żadnych strat, a lotnictwo bardzo niewielkie. Na ląd wysadzono dwie dywizje: piechoty marynarki i zmotoryzowanej piechoty. Zajęto kilka wysepek archipelagu, ale Japończycy bronią się jeszcze w poszczególnych punktach. Prawdopodobnie trzeba ich będzie wybić do nogi, jak to miało miejsce na Salomonach.

Wykonany przy pomocy marynarki kolejno skok z Australii na Salomony, Nową Brytanię, Wyspy Gilberta i Marshalle zbliża siły sprzymierzone do Japonii na odległość 2,000 mil. Równocześnie zaś angażuje duże siły japońskie na tych przestrzeniach. Nic dziwnego, że Niemcy daremnie domagają się, aby Japonia uderzyła na Rosję.

Następnym skokiem mogą być Karoliny i wyspa Wake. Równocześnie na przeciwnym końcu Pacyfiku, siły amerykańskie admirała Baker'a, bazowane na Aleutach, dokonały wypadu na wyspy Kurylskie, stanowiące już zasadniczą część imperium japońskiego. Szczegółów tej operacji jeszcze brak, ale świadczy ona o tym, że eskadry amerykańskie zapędziły sie na pogranicze Pacyfiku i Morza Ochockiego, zagrażając bezpośrednio z jednej strony metropolii japońskiej, z drugiej zaś źródłom naftowym na Sachalinie. Jeśli operacja ma tylko charakter zwiadowczy czy dywersyjny, to tym niemniej wraz z operacjami na południu, zmusza flotę japońską do dzielenia swych sił na rozległe teatry działań od Australii do Kamczatki i od Indonezji do Hawai.

Aby zapewnić dowóz sprzetu, zaopatrzenia i posiłków na tych przestrzeniach Japonia musiałaby mieć do swej dyspozycji około 25 milionów ton statków handlowych. Ponieważ posiada 7 do 10 milionów, tedy nic dziwnego, że raz po raz garnizony japońskie, rozsiane po archipelagach Pacyfiku, giną w beznadziejnej walce, pozbawione pomocy.

Wojna z Japonia nie bedzie łatwa do wygrania.. I nie można się zbyt optymistycznie zapatrywać na jej przebieg, tam gdzie żołnierz czy marynarz japoński woli zginąć niż poddać się. Na Marshall'ach wzięto wszystkiego 173 jeńców i to po większej części ciężko rannych. Tym niemniej smok japoński pożarł więcej niż może. To też zaczyna chorować na . . . niestrawność.

ROPOWIEC W AGADIR

Mała mieścina marokańska, która w r. 1911 o mało nie stała się widownią początku wojny światowej /wysłanie kanonierki "Panther" przez Wilhelma II. na przekór Francji i Anglii/ — ma nową sensację. Jest, a raczej był nią — ropowiec włoski, przez kilka lat tkwiący przy wejściu do portu. Obecnie, wskutek kapitulacji Włoch, ropowiec ten został odholowany do jednego z portów brytyjskich.

Okazuje się, że ten okręt-cysterna, stojący na wodach hiszpańskiego Marokka, był niczym innym, jak bazą włoskich okrętów podwodnych — "kieszonkowych" i normalnych, operujących przeciwko Gibraltarowi. Obecnie Marynarka Brytyjska posiadła dowód, jak wyglądała w istocie neutralność hiszpańska.

W oparciu o ropowiec małe okrety podwodne i "żywe torpedy" włoskie /załoga 2 ludzi/ zatopiły szereg statków w Cieśninie Gibraltarskiej, a nawet uszkodziły poważnie 3 transportowce w samym porcie. Jeśli dodać do tego bomby-pomarańcze i bomby-cebule wśród hiszpańskich ładunków na statkach brytyjskich — staje się jasne dlaczego sprzymierzeni "nacisnęli" rząd gen. Franco.

NA BAŁTYKU

Odblokowanie Kronsztatu niewątpliwie oswobodziło część floty bałtyckiej Związku Sowieckiego. Niemcy położyli wprawdzie dwie zagrody z min i sieci poprzez Zatokę Fińską, a poza tym liczyli na lód. Ale zima była wyjątkowo łagodna, morze nie zamarzło, a zagrody dały się sforsować, bo prasa szwedzka donosi już o pojawieniu się okretów podwodnych w okolicy Norköping.

Jakkolwiek rzecz się ma, problem jest dla Niemców ciężki. Po pierwsze odcięta zostaje Finlandia, zaopatrywana tylko z morza. Po drugie dowóz rudy szwedzkiej do Niemiec staje pod znakiem zapytania. Po trzecie część floty niemieckiej zaangażowana zostanie w operacjach na środkowym i północnym Bałtyku. A okrętów i samolotów nie mają Niemcy dziś za wiele.

"*Sunday Dispatch*" pisze, że wojna skończy się w dniu, gdy rosyjscy marynarze wylądują na wybrzeżu Prus. Z pewną melancholią stwierdzić można, że należycie ufortyfikowany Hel mógłby swego czasu odegrać taką samą rolę, jak dziś Kronsztat.

KILKA FAKTÓW

Trzy dalsze niemieckie "łamacze blokady" zniszczone zostały na południowym Atlantyku przez siły amerykańskie wice-admirała Ingrama. Były to statki "Weserland," "Burgenland" i "Rio Grande" /ten ostatni tego samego typu co zatopiony w r. 1940 przez O.R.P. "Orzeł" — "Rio de Janeiro," 6-7 tys. ton/. Wiozły one do Niemiec na około przylądka Horn cenne surowce strategiczne z Japonii a między innymi surową gumę, bez przymieszki której nie można fabrykować gumy syntetycznej.

Niemieckie okręty podwodne w styczniu zatopiły /oczywiście według komunikatu Goebbelsa/ 17 statków, łacznej pojemności 122.000 ton. Rezultat dość mizerny, jeśli przyjmiemy, że Niemcy, jak zwykle, dwu lub trzykrotnie przesadzają.

Prasa amerykańska podała ilość zniszczonych w tej wojnie kontrtorpedowców Sprzymierzonych na 425. Cyfra ta wydaje sie nieścisła. Jak wiadomo do stycznia 1944 straty brytyjskie wyniosły 110 kontrtorpedowców; francuskie, holenderskie, polskie /4/, norweskie, greckie i jugosłowiańskie łacznie około 40. Pozostało by wiec 275 na . . . Amerykę i Rosję! Ponieważ straty sowieckie nie są znane, ale z pewnością nie przekraczają 50 okrętów tego typu /na wszystkich morzach/, tedy 225 musieliby stracić sami Amerykanie! Oto do czego prowadzi zbytnia dziennikarska gorliwość . . .

Wzorem ratowania tonącego statku oraz organizacji alarmów wodnych i pożarowych, jest historia jednego z transportowców amerykańskich. Statek został dwukrotnie storpedowany i miał na pokładzie 1973 ludzi. Zginęło tylko czterech!

Marynarka amerykańska straciła ostatnio dwa okręty podwodne. Czyni to razem 17 od Pearl Harbour.

Tonaż handlowy Stanów Zjednoczonych wynosi obecnie ponad 26 milionów ton, to jest przeszło dwa razy więcej niż przed wojną. Jakżeż wygląda pan Doenitz ze swymi zapowiedziami spędzenia flot sprzymierzonych z powierzchni mórz?

A propos komunikatów Doenitza, że w styczniu jego okręty podwodne zatopiły 27 kontrtorpedowców i 2 okręty podwodne — Admiralicja Brytyjska oświadczyła: cyfry te są tak przesadzone, że nie warto ich nawet prostować!

ANZIO

Na mały ten port włoski zwrócone są w tej chwili oczy niemal całego świata. Groźba niemiecka sprawdziła się. Wojska anglo-amerykańskie wylądowały bez przeszkody, ruszyły w głąb lądu, ale tam natrafiły na opór. Niebawem Niemcy rozpoczęli — poza zasięgiem dział okrętów Sprzymierzonych — potężne przeciwnatarcie. Przyczółek skurczył się i sytuacja stała się poważna. I znów wszystko — w natarciu i w obronie, w dowozie i w ewakuacji — zależy od marynarki i współpracującego z nią lotnictwa.

Taktyka niemiecka okazała sie słuszna. Nie ryzykując walki pod ogniem artylerii morskiej, Kesselring rozpoczał przeciwnatarcie dopiero zdala od wybrzeża. Obrał metodę ściśle ladową. Ale bądź co bądź Alianci panuja na morzu. To też niemieckie głosy o tym, że Anzio jest "próbną premierą" inwazji i że taki sam los spotka każdy oddział Sprzymierzonych lądujący na kontynencie wydają się co najmniej . . . "przedwczesne."

Zobaczymy czy Anzio będzie drugim Gallipoli czy drugim Salerno. W każdym razie Prezydent Roosevelt . . . modli się o pogodę.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Teraz dopiero możemy podzielić się wiadomością, że polskie okręty wojenne działały na morzu Egejskim w okresie walk o Leros i Cos. Szczegóły na potem — na razie jednak wiadomo, że jeden z kontrtorpedowców odparł z niezwykłym poświęceniem nalot szybowców rakietowych.

Nadeszły też szczegóły zniszczenia 7 statków npla przez O.R.P. "Sokół" w listopadzie roku ubiegłego. Akcja ta miała miejsce w okresie najgorętszych walk o Leros i Samos. Pierwszy statek, po wymianie ognia artyleryjskiego, został zatrzymany i zdobyty przez pikietę abordażową "Sokoła." Wysadzono go w powietrze ładunkiem wybuchowym, po uprzednim zrewidowaniu. Statek wiózł umundurowanie i broń. Drugi statek zatopiony został również ogniem z działa "Sokoła," przy czym wzięto jeńców.

Trzeci statek zaatakowany był ogniem artyleryjskim tak blisko wybrzeża, że niemiecka bateria brzegowa pośpieszyła mu z pomocą. Wówczas "Sokół" zanurzył się i storpedował statek. Zginęło co najmniej stu Niemców.

Idący w pobliżu większy transportowiec nieprzyjacielski schronił się przed atakiem "Sokoła" na płytkie i skaliste wody przybrzeżne. Osłaniał go duży ścigacz, a niebawem dobiły doń dwa żaglowce, celem przewiezienia wojska na ląd. "Sokół," mimo trudnych warunków, zaatakował te małą koncentracje torpedami, zatapiajac wszystkie statki. I tu zginać musiało ponad stu ludzi.

Po ataku "Sokół" ostrzelany został przez baterie brzegowe, jednak dzięki sprawnemu manewrowaniu nie odniósł uszkodzeń.

JULIAN GINSBERT

Polska — żywymi oczami

Życie ulicy*



Ludność Warszawy wyprzedaje resztki swego mienia

Tymi to ulicami biegało się do gimnazjum, tędy przez Warecką skręcało się do Uniwersytetu, na Koszykowej otwierał się raj książek, u Gajewskiego były najlepsze i największe ciastka. . . Marszałkowska wesoła, ruchliwa, krzycząca neonami i Mazowiecka pełna pań prezentujących z wdziękiem futra, przedziwne kapelusze i peleryny z co najmniej czterech lisów. Ulica jaskrawa, ruchliwa — ta sama dziś ulica, a inna, trudna do poznania ulica Warszawy wojującej, Warszawy — podziemnej stolicy.

Więc najpierw: ulica brudna, szara i biedna. Szkody z bombardowania stały się widoczniejsze i bardziej przykre po uprzątnięciu gruzów. Rozebrano kamienice, grożące zawaleniem. Zniknęły liczne fasady przeświecające ślepymi oknami. Nie ma już wanien wiszących nad głowami, ani dziwacznych ocalałych luster i doniczek z kwiatami, ale nic nie zajęło miejsca tych resztek życia pozostałych po bombardowaniu. Wymieciono Warszawę z gruzów i wieje teraz w śródmieściu pustką. Place, wyrwy i nieoczekiwane wyloty ulic przypominają na każdym kroku dni oblężenia. Ze skrzyżowania Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich można patrzeć bez przeszkód głęboko w Chmielną, z drugiej strony czernią się wyrwy "Orbisu," narożnika Widok, Poznańskiej.

W bardzo wielu domach po rozbiórce zachowano tylko parter i ciągną się teraz kilometrami parterowe, długie, prowincjonalne domy. W lepiej zachowanych są sklepy z maleńkimi, ubogimi wystawami, inne zalepione doszczętnie afiszami niemieckiej propagandy. Niemieckie sklepy, niemieckie tablice z napisami usiłują nadać piętno okupacyjne, jednak napisy: *Polizei-Str., Himmler-Str.*, czy *Adolf-Hitler Platz*, nie zmieniają nic, nie używa się tych nazw, nie zna się ich i nawet nie widzi się obcych gotyckich znaków.

Piętno wszechobecnego ubóstwa nadają ulicy dwa elementy: puste wystawy sklepowe i zwłaszcza wygląd zewnętrzny ludności. W sklepach nie ma dosłownie nic. Sklepy spożywcze wystawiają czasem ocet i musztardę, ale i o te rzeczy było już trudno, pozatem zdobią wystawy pudełka z obiecującym napisem: "*Leere Schachteln*" /puste pudełka/. Ubożuchne wystawy szkła czy materiałów włókienniczych mają inne pouczające objaśnienia: "*Muster nicht zu verkaufen*" /Wzory niesprzedażne/. Poza tymi wzorami na wystawie, sklepy najczęściej nie mają w ogóle nic. Zostawić jednak wystawę pustą, lub zamknąć sklep było by "sabotażem." Kupcy więc siedzą cierpliwie i marzną w sklepach, wyczekując godzin zamknięcia. Z tego też powodu przyjął się ogólnie niepraktykowany dawniej w Polsce zwyczaj zamykania sklepów w południe.

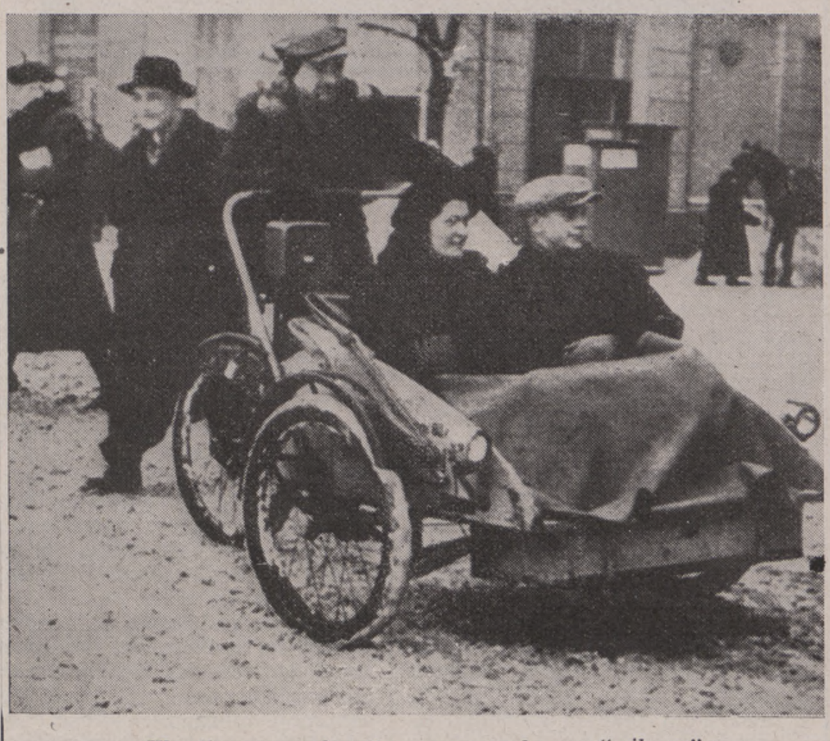
Szare, nieodnawiane wystawy, brudne mury kamienic, a nade wszystko ubogi,zbiedzony wygląd przechodniów cechują ulicę warszawską pewną monotonią i smutkiem. Ubrania są wytarte, przerabiane i nicowane na wszelkie sposoby, wszystkie są noszone przynajmniej cztery lata, w olbrzymiej bowiem większości ludzie nie mieli w czasie wojny możliwości uzupełniać garderoby. Od marca do października kobiety chodzą bez pończoch, latem w drewniakach, zimą przeważa obuwie na gumowych, a często również na drewnianych podeszwach. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni nie nosi się kapeluszy, zimą ciepłe chustki, pilotki, fabrykowane ze skrawków materiału lub szydełkowane z kilka razy już prutej wełny. W tych warunkach Marszałkowska i Nowy Świat upodobniły się do Wolskiej czy Ochoty, z tym, że nie mieliśmy i przed wojną w ubogich dzielnicach twarzy zapadniętych, ziemistych, oczu ściętych rozpaczą, strachem i nienawiścią.

Ograniczenia w używaniu środków napędnych wpłynęły na znaczne zmniejszenie ruchu kołowego. Znikły zupełnie taksówki. Widuje się tylko auta wojskowe. Niemcom cywilnym nie wolno używać aut w sobotę popołudniu i w niedzielę, a i w dzień powszedni ograniczono silnie ruch samochodowy. Auta ciężarowe pracują na gazogeneratorach, zatruwając powietrze kłębami dymu, hałasując i oszpecając ulicę brzydkimi kominami i piecami.

Wróciły do łask dorożki z "sałaciarzami" nie tracącymi humoru. Wrócili wobec braku telefonów, starzy posłańcy w czerwonych czapkach i można by zasmakować w pewnych powrotnych, Prusowskich urokach dawnej Warszawy, gdyby nie koszmarna, nie pozwalająca na sentymenty, rzeczywistość.

W pierwszym roku wojny, bezpośrednio po bombardowaniu, kursowały po Warszawie furki z siedzieniami wyłożonymi słomą. Furki te "za jedne 50 gr." woziły po mieście, oczywiście ładując po 10 — 12 osób. "Plac Zbawiciela — Plac Teatralny," "Dworzec Główny — Plac Zamkowy" wykrzykiwali przygodni woźnice, wywołując gromy oburzenia ze strony dorożkarzy uważających "furki" za upadek dryndziarskich tradycji stolicy.

Po uruchomieniu tramwajów, "furki" zniknęły bez śladu, powstał jednak i utrzymał się nowy środek komunikacji, mianowicie "riksze." Są to dwukołowe wózki, ciągnięte przez człowieka, zabierające dwie osoby. "Riksz" tych było dużo w ghecie pozbawionym dorożek, kursowały jednak również i w mieście.



Współczesna taksówka warszawska — "riksza"

Głównym środkiem komunikacji pozostały oczywiście tramwaje. Tłuką się, jęcząc, zgrzytając wiecznie zepsutymi hamulcami, przeładowane, dychawiczne, ustające. Tabor nieremontowany i nieuzupełniany od początku wojny wypowiada już posłuszeństwo. Wozy też poruszają się powoli, statecznie, oblepione ludźmi, wiszącymi na stopniach, włażącymi jedni na drugich, wygniatającymi szyby. Tylko w pierwszej połowie wozu "*nur für Deutsche*" siedzą rozparte dwie, trzy osoby — za sznurkiem przedzielającym wóz, kipi polska część. Jeździ się tłumnie, nie wykupując biletów. Bojkot jest świadomy i zadawniony, dwóch konduktorów i liczni kontrolerzy nie są w stanie opanować sytuacji, a dochody niemieckiej elektrowni zmniejszają się codzień katastrofalniej.

Najbardziej jednak charakterystycznym rysem wojennej ulicy w Polsce jest handel. Zabroniony, ścigany, wyklęty handel uliczny, "pasek", raj szmuglerów, klęska niemieckiej policji porządkowej i zbawienie ludności. Przekupki krzykliwe, zuchwałe, z "niewyparzonymi" językami, chłopaki-szelmy, wszechobecne, załażące Niemcom za skórę, niezrównani kanciarze, dzieci ulicy. Jeśli się ma pieniądze /oczywiście nie byle jaki pieniądz/ wszystko można kupić na ulicy warszawskiej. "Bułeczki, chlebuś nałęczowski," "pończoszki jedwabne na śliczne nóżki panienki," "sacharyna krystaliczna, sacharyna," "złoto, dolary franki szwajcarskie." Na Kercelaku jeszcze do 1942 r. można było zaopatrzyć się w używaną, "jak nową," garderobę. W ostatnich jednak czasach Niemcy zajechali na ten "wolny rynek" ciężarówkami uzbrojonymi w karabiny maszynowe, zrabowali ubogi towar wszystkich kramików, a samych szmuglerów wywieźli na roboty.

Trzecia Rzesza piąty już rok wojuje z polskimi paskarzami, przegrywając na całej linii.

Wbrew wszystkim zakazom kwitnie handel na wszystkich ulicach warszawskich, "Wołówce," w Podgórzu Krakowskim, w sercu "stolicy Gubernatorstwa" pod Sukiennicami. W dni ustalone nie sposób się dostać do tramwajów w kierunku Podgórza. "Targi wschodnie" przyciągają tłumy chłopów i uboższej ludności miejskiej. Kwitnie handel zamienny, ludzie zaopatrują się w łachy, aby przetrwać, jak się w Polsce nagminnie wierzy, te "ostatnie parę miesięcy."

Pod Sukiennicami można kupić nie tylko kilka kilo cukru, "kamienie do zapalniczek," "czystą — wyborową," "świeże masełko" z kartoflami w środku od naszych andrusów, lecz buty, skórę z siodła na podeszwy, części uzbrojenia i umundurowania od niemieckiego żołnierza. To też obława za obławą przebiega przez Rynek. Schwytani szmuglerzy wędrują, na roboty, rynek zostaje zasłany towarami, dolarami, markami, nieraz na bardzo duże kwoty. Na drugi dzień jednak już od rana dyskretni jegomoście szepcą przechodniom do ucha: "złoto, kupuję dewizy."

Przechodząc Chmielną ulicą w południowych godzinach byłam świadkiem łapanki na przekupki z "nałęczowskim chlebusiem." Zajechały auta, w mgnieniu oka ulica opustoszała, konwój sześciu ciężarówek zawiózł w kierunku Żelaznej . . . dwie przekupki z koszami pieczywa. Ledwie auta zniknęły za zakrętem, cała ulica szumiała nawoływaniami: "do bułeczek," "kiełbasa, kiełbasa krakowska, czysta wieprzowa."

Ruchliwy i nieuchwytny handlarz uliczny spełnia rolę bardzo pożyteczną. Umożliwia ludności, choćby przez handel wymienny, jakie takie przeżywienie się, podważa skutecznym sabotażem niemiecki system racjonowania żywności. Swarliwe przekupki są zdolne i do czynów bohaterskich, jak odbicie transportu dzieci z Zamojszczyzny, reagują żywo na każdą krzywdę wyrządzoną przez Niemców. Z płaczem i krzykiem awanturowały się przeciw Niemcom na Rynku Krakowskim w dniu rozbiórki pomnika Mickiewicza. Małe andry, sprzedające zapałki i papierosy, potrafią kolportować tajną prasę i wykrzykiwać na ulicy w biały dzień: "Dodatek nadzwyczajny . . . mowa premiera Churchilla" — oczywiście wymawiając z polska. Oni to, ruchliwi, jak żywe srebro, nadają naszej smutnej, szarej i zaśmieconej ulicy, tempo, żywiołowość i nawet humor. Są uśmiechem miast w dniach grozy.

MARIA BRZESKA

—"Panie sezonowy obywatel" — woła za niemieckim przechodniem warszawski gazeciarz, sprzedający niemiecką gadzinówkę — "kup pan tę szmatę, bo jak pan nie kupi, to nikt nie kupi."



*/ Por. pierwszy artykuł cyklu: "Powszedni dzień terroru," druk. w nr. 6 "Polski Walczącej" z b.r.

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII
za czas od 1 do 31 stycznia 1944 r.

Lotnictwo myśliwskie

Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:

pewnych	—	3
prowdopodobnych	—	2
uszkodzonych	—	3

Razem polskie samoloty myśliwskie od chwili przybycia do W. Brytanii do dnia 31 stycznia 1944 r. zastrzeliły samolotów nieprzyjaciela

pewnych	—	615
prowdopodobnie	—	165
uszkodziły	—	214

Lotnictwo bombowe

Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
12	136

Główne zadania: minowanie wód nieprzyjacielskich, patrolowanie mórz, zwalczanie żeglugi nieprzyjacielskiej i poszukiwanie zaginionych załóg.

W czasie patrolowania uszkodzono silnie 1 okręt podwodny.

Ilość wypraw bombowych od chwili przybycia do W. Brytanii do dn. 31.I.44 — 746, łączna ilość samolotów — 6539.

Prawdopodobnie zatopiono w tym czasie 6 okrętów podwodnych, uszkodzono 8, poza tym zniszczono na pewno 11 samolotów nieprzyjacielskich, 9 prawdopodobnie i 4 uszkodzono.

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3360 książek

VISCOUNT ARCHIBALD WAVELL OF CYRENAICA AND WINCHESTER

Niedawno ukazała się na rynku księgarskim nowa książka Wavell'a: "Allenby in Egypt." Aktualizuje ona nieogłoszone dotychczas studium polskiego uczestnika kampanii w Libii, które drukujemy również ze względu na szereg poruszonych w nim kwestii ogólnych i zasadniczych.

/Przyp.red./

Wczoraj w Kairze* widziałem po raz pierwszy w życiu mego nowego dowódcę — generała Wavella, głównodowodzącego Armią Nilu.

Miłe Angielki, które nas tu kształcą w angielskim języku /najmłodsza dawno ukończyła lat pięćdziesiąt/ postanowiły nam pokazać jedną z najbardziej charakterystycznych części tego egzotycznego miasta Wschodu — bazary. W wąziutkich uliczkach, tak wąskich, że żaden pojazd przejechać nimi nie może, mieści się przeogromna ich ilość. Są to sklepy tandetne i małe, na których progu właściciel wschodnim zwyczajem siedzi w kuczki, pije kawę, pali nargile i zaprasza gościnnie do wnętrza.

Od czasów, jak Napoleon, Sułkowski, Zajączek przechadzali się tymi krętymi uliczkami — nic się tu chyba nie zmieniło. Dziś tylko tłum Australijczyków w jankesowskich kapeluszach kręci się przed kramami. We wnętrzu bazarów znajdziemy srebro, tanie makaty. Sklepy ze słodyczami Wschodu cieszą się powodzeniem; piętrzą się w nich stosy haław, rahatłukum i bakalij w najprzeróżniejszych kolorach. I są bazary wielkie, ogromne, gdzie właściciel o wyglądzie paszy prowadzi nas przez niekończący się pas salonów, każe podziwiać makaty damasceńskie i dywany perskie, klejnoty, wyroby szczero-złote, godne dłuta Celliniego. Wreszcie w ostatnim salonie /mamy nadzieję/ sadza nas na sofie. Służący arabski w długiej białej szacie wnosi kawę, a właściciel wyjmuje uroczyście z szafy jakąś szablę, cmoka z zachwytu i mówi: —"Oto stal damasceńska, należała kiedyś do wielkiego Dżyngis Chana." Już wiemy, że Słowacki przereklamował stal damasceńską, że słynną produkcję stali zakończył Damaszek trzy wieki temu, że obecna wytwórczość to obrzydliwe naśladownictwo, ale jakoś, choć wstyd mi bardzo, nie mogę dostrzec różnicy między nimi. Ktoś z nas pyta nieśmiało o cenę. Arab oburzony odpowiada: —"To jest przedmiot bez ceny! Za żaden skarb świata bym go nie oddał!" Angielki się uśmiechają . . . Kupiec doskonale wie, że tym razem przyprowadziły klijentów, na których nie zarobi. Gdyby to był ambasador Lampson, wyjechałaby po tym dumnym oświadczeniu okrągła sumka funtów.

I tak w którymś z bazarów zobaczyliśmy w pewnej chwili dwu generałów brytyjskich. Byli to siwi, poważnie wyglądający gentlemeni. Towarzyszyły im dwie starsze panie, o skromnym, acz nobliwym wyglądzie angielskich *ladies*. Wymieniliśmy ukłony. Przypuszczałem, że to jacyś emerytowani generałowie, powracający z Indyj do kraju, zaopatrują się w ostatnie podarunki. Gdyśmy wyszli ze sklepu, usłyszeliśmy:

—To był generał i pani Wavell. Ten drugi to generał Wilson.

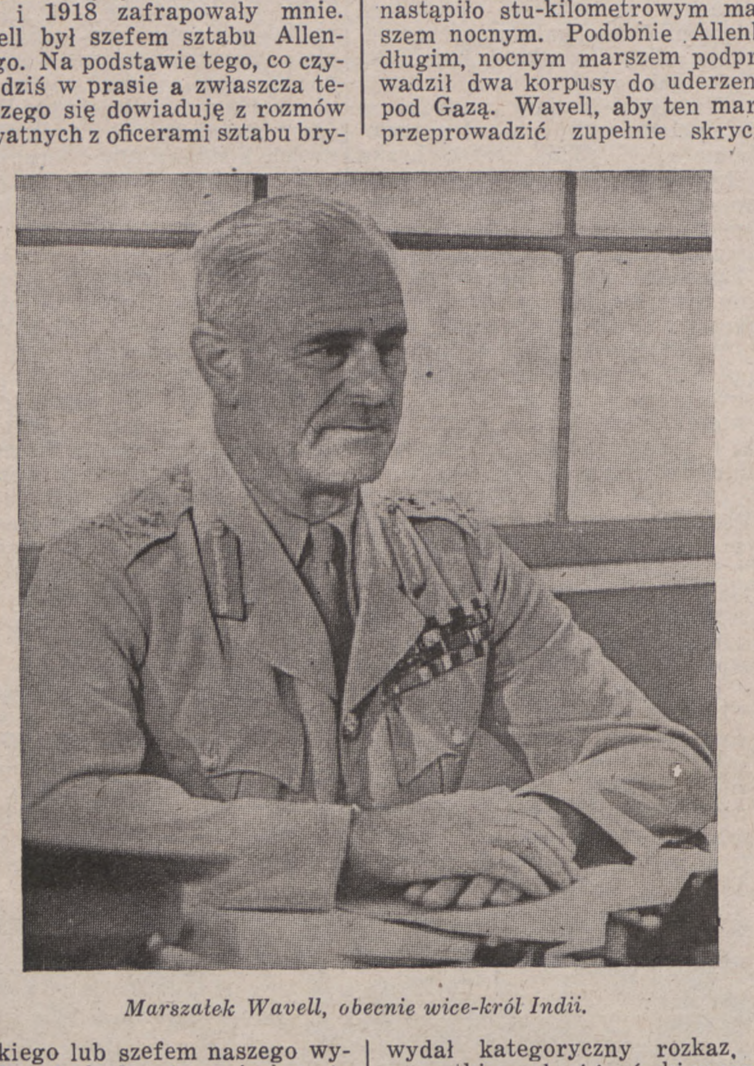
Aż zaniemówiłem. Doprawdy?! Czyż możliwe?! Czyż głównodowodzący armiami od Abisynii po Libię i Grecję, pogromca armii Grazianiego, zdobywca Addis Abeby, może tak skromnie wyglądać, tak chodzić po sklepach, jak zwykły śmiertelnik? Jakoś postać naczelnego wodza łączyła mi się w podświadomości z cwałującym rumakiem, dobytą szablą, nurtem spienionej rzeki! Dowódca armii Nilu zawodził wszystkie te podświadome nadzieje. Było w nim raczej coś z wyglądu profesora, coś ze skromności generała Kukiela. Jakże odbiegał od wspaniałego wyglądu naszych generałów znanych mi z defilad lat najmłodszych: Wieniawy, Skotnickiego, czy Kasprzyckiego.

Cóż robić? Wrzesień na tyle rzeczy otworzył mi oczy, że i tę ostatnią rewelację jakoś zniosę.

UCZEŃ ALLENBY'EGO

Niedawno w jakimś salonie gościnnych Greków dystyngowani panowie i wychuchane panie między jednym drinkiem a drugim oceniali sytuację na froncie. "Generał Wavell po prostu zastosował w pustyni strategię niemieckiej wojny ruchomej" — padło zdanie. Podobnie ocenia Wavella większość moich kolegów. Sądzę, że są w błędzie.

Niezmiernie interesująca jest niedawno wydana monografia marszałka Allenby'ego, pióra Wavella. Ostatnie rozdziały poświęcone zdobyciu Palestyny i Syrii w latach 1917 i 1918 zafrapowały mnie. Wavell był szefem sztabu Allenby'ego. Na podstawie tego, co czytam dziś w prasie a zwłaszcza tego, czego się dowiaduję z rozmów prywatnych z oficerami sztabu bry-



Marszałek Wavell, obecnie wice-król Indii.

tyjskiego lub szefem naszego wywiadu, dochodzę do wniosku, że Wavell w swej strategii i taktyce wykształcił się w mniejszym stopniu na Niemcach a w znacznie większym na Allenbym.

Oto cechy wspólne, które dostrzegam w kampanii palestyńsko-syryjskiej Allenby'ego i libijskiej Wavella.

KLUCZOWA ROLA ZASKOCZENIA

Allenby przykładał niezmierną wagę do taktycznego zaskoczenia przeciwnika. Wavell przytacza wiele przykładów pomysłowości Allenby'ego w myleniu czujności Turków. I tak w przeddzień trzeciej bitwy pod Gazą, Allenby wysyła na przedpole oficera, który udając rannego, zostawia Turkom ociekającą krwią torbę polową z fałszywym planem kierunku uderzenia brytyjskiego. Kawał się udaje, wprowadza w błąd nieprzyjaciela.

Gdy rok później Allenby postanawia przeprowadzić uderzenie lewym skrzydłem przez dolinę nadmorską, od Tel-Avivu na Karmel, organizuje szereg kawałów, które mają przekonać Turków, że uderzenie pójdzie górami, przez dolinę Jordanu. I tak rekwiruje hotel w Jerozolimie, zakłada w nim telefony, przygotowuje kwatery, biura. Cała Jerozolima, w której roi się od szpiegów tureckich powtarza na ucho, że sztab Allenby'ego przenosi się tu wkrótce — co Turków przekonuje, że uderzenie pójdzie górami. Tymczasem Allenby koncentruje korpus kawalerii w nadmorskich gajach pomarańczowych, gdzie znajduje doskonałe ukrycie, a na opuszczone przez nią miejsce w dolinie Jordanu, każe ustawić 15 tysięcy koni zrobionych z . . . drzewa; w czasie kiedy konie winny iść do wodopoju, muły ciągną po piasku brony, wznoszące tumany kurzu; przez Jordan przerzuca się nowe mosty; co ranka bataliony piechoty schodzą z góry w dolinę Jordanu — w nocy samochody odwożą je pod Jerozolimę z powrotem; stacja radiowa korpusu kawalerii dalej pracuje w Jerychu, choć sztab i korpus dawno już przeniosły się na drugi koniec frontu, nad morze, agenci Lawrence'a zapowiadają Arabom, że wnet będą potrzebowali dużych ilości paszy w Transjordanii. Te wszystkie kawały, wydawało by się dość naiwne, spełniają jednak swój cel: Turcy ustawiają tak swe wojska, jak chce tego Allenby, niepotrzebnie wzmacniają swe lewe skrzydło, dają się zaskoczyć na prawym. Ponoszą druzgocącą klęskę.

Otóż wszyscy w Kairze mówią teraz o kawałach, które pod Sidi Barani Wavell wypłatał Włochom. W Mersa Matruh pozostawił kilkaset czołgów i armat wykonanych z drzewa i płótna workowego, dla zmylenia nieprzyjacielskich samolotów rozpoznawczych. Podejście na pozycję wyjściową do natarcia nastąpiło stu-kilometrowym marszem nocnym. Podobnie Allenby długim, nocnym marszem podprowadził dwa korpusy do uderzenia pod Gazą. Wavell, aby ten marsz przeprowadzić zupełnie skrycie, wydał kategoryczny rozkaz, że wszystkie szyby i żarówki w samochodach mają zostać wybite — obawiał się nieostrożności jakiegoś kierowcy w nocy oraz wiedział, że lotnikowi najłatwiej w dzień dojrzeć odbicie promieni słońca w szklanej szybie.

Tylko kilkunastu ludzi na całym Środnim Wschodzie wiedziało o zamierzonej ofensywie. Korpus wyruszający z Matruh na pozycję wyjściową do natarcia do ostatniej chwili przypuszczał, że idzie na ćwiczenia bojowe — dopiero na parę godzin przed uderzeniem na Włochów dowiedział się, że tym razem wyszedł nie na ćwiczenia, lecz na wojnę.

Foch na podstawie doświadczeń wojny na froncie zachodnim doszedł do wniosku, że zaskoczenie ze względu na konieczność koncentracji olbrzymich ilości ludzi i sprzętu w nowoczesnym natarciu przestało odgrywać rolę. W zwycięstwach niemieckich w latach 1939 i 1940 przewaga jakości i ilości sprzętu odegrała bez porównania istotniejszą rolę, aniżeli zaskoczenie taktyczne.

Wavell miał do zwalczenia naprzeciw siebie mocniejszego przeciwnika. Zwyciężył go nie przewagą sprzętu, ale przede wszystkim wspaniałym zaskoczeniem: włoską dywizję pancerną zniszczył, gdy była na postoju nocnym tracąc sam zaledwie kilkudziesięciu zabitych. Generał Maletti, dowódca tej dywizji zbudzony ze snu nie zdążył nawet wsiąść do czołgu, zginął, gdy wybiegł ze schronu w kalesonach i z pistoletem w ręku.

O ile idzie o wykorzystanie elementu zaskoczenia w nowoczesnej wojnie zmotoryzowanej stwierdzić należy, że Wavell poszedł wbrew zdaniu mistrza ostatniej wojny, Focha, nie poszedł za przykładem niemieckim. Poszedł za przykładem swego mistrza z r. 1918 — Allenby'ego.

PRECYZJA W PRZYGOTOWANIU BITWY

W monografii Allenby'ego, Wavell podkreśla jego precyzję w przygotowaniu bitwy. Allenby niczego nie zostawiał na łaskę losu, moment ryzyka starał się zredukować do minimum.

Szef II oddziału mjr. M. miał niedawno w Brygadzie odczyt o przebiegu bitwy pod Sidi Barani. Zwróciła naszą uwagę szczegółowość, drobiazgowość w przygotowaniu bitwy. Rozkład pól minowych osłaniających obozy włoskich dywizji był dokładnie zbadany przez patrole brytyjskie. Stwierdzono, że Włosi nie zaminowali wjazdów do obozów od tyłu. Tędy zatem postanowiono przeprowadzić główne uderzenie. Rola każdego z batalionów biorących udział w natarciu została szczegółowo ustalona, z dokładnością w czasie do minuty. Co więcej: bitwę pod Sidi Barani przerobiono na specjalnych ćwiczeniach. Przebieg bitwy, w którym jednocześnie miały miejsce cztery oddzielne natarcia, był w wyniku tak precyzyjny, że prawie nie odbiegł od przyjętego planu.

Allenby w przeddzień bitwy pod Gazą dodaje ducha swemu dowódcy korpusu mówiąc: "Wszystko pójdzie dobrze; nie widziałem jeszcze nigdy, aby naprawdę dobrze przygotowany atak się nie udał." A w przeddzień drugiej i ostatniej ofensywy objeżdża dywizje, wykłada dowódcom batalionów jej plan, promieniuje zwycięstwem, jest go tak pewny, nie wątpi, napełnia wiarą w nie słuchaczy.

Jest niewątpliwe podobieństwo w tej scenie, gdy rankiem 9 grudnia głównodowodzący Armii Nilu wezwał do siebie przedstawicieli prasy i tonem spokojnym, ale pewnym siebie oznajmił, że o świcie tegoż dnia oddziały imperialne rozpoczęły natarcie na armię Grazianiego.

ENERGIA W POŚCIGU

Co jest zdumiewające w operacjach armii Nilu, to szybkość pościgu za pokonanym nieprzyjacielem. Twierdze Capuzzo, Bardia, Tobruk potem Derna, Bengazi padają w błyskawicznym tempie. Wszyscy, nawet radio niemieckie, zdumiewają się szybkością pościgu Wavella. Czy to błyskawiczne tempo Armii Nilu, to był zwykły przypadek, naśladownictwo Niemców? Zaglądam do cytowanej monografii o Allenbym, oto co Wavell pisze o roli pościgu w jego taktyce.

"Laikom wydaje się, że pościg za nieprzyjacielem, jest najłatwiejszą fazą wojny. Gonić za uciekającym, przypuszczalnie zdemoralizowanym nieprzyjacielem, musi być łatwe, obiecuje wielki zysk kosztem pewnego wysiłku, ale nikłego niebezpieczeństwa. A przecież historia wojen stwierdza, że pomyślnych, uwieńczonych pełnym powodzeniem pościgów było niewiele, natomiast udałych wycofań z przegranych bitew dużo. Powody tego są częściowo materialnej natury, przeważnie jednak moralnej. Wojsko wycofujące się samo wchodzi w swe etapy i uzupełnienia; o ile nie jest odcięte, wzmacnia się z każdą chwilą. Poza tym są inne elementy, działające na jego korzyść: mosty i drogi zniszczone, cieśniny zablokowane, magazyny zniszczone. Ścigający zaś oddala się od własnych baz. Może wprawdzie żywić się kosztem łupów, nie może jednak tą drogą uzupełnić swej amunicji i sprzętu.

Ale główna przeszkoda w pościgu jest natury psychologicznej. Ścigany ma większy zapał do pośpiechu, aniżeli ścigający, i gdy nie jest zdemoralizowany — silniejszą wolę walki. Jest zupełnie naturalne, że żołnierz, który zaryzykował swe życie i ciężko się naharował, aby wygrać bitwę, pożąda wypoczynku jako nagrody za zwycięstwo, i że sam dowódca i jego sztab będą potrzebowali wytchnienia po dokonanym wysiłku.

Tak więc, o ile zachowanie spokoju w chwilach klęski jest najwyższą próbą dzielności dowódcy, to energia w pościgu jest najpewniejszą próbą siły jego woli. Mało kto wykonywał pościg z taką bezustanną determinacją, jak to czynił Allenby w latach 1917 i 1918" . . .

Allenby "jako głównodowodzący używał zaskoczenia i czynnika ruchu jako głównych elementów, mających pokonać nieprzyjaciela; to, oraz nieustająca energia w pościgu są istotnymi naukami, jakie studiujący jego kampanie z nich zaczerpną."

Wojska Allenby'ego w ciągu 38 dni przebyły przestrzeń 900 kilometrów dzielącą Tel-Aviv od Aleppa. Armia Nilu zużyła 60 dni dla przejścia 1000 kilometrów z Matruh do El Agheila.

Wavell przed wojną, w r. 1928 r. pisał: "Doświadczenie kampanii palestyńskich pokazuje walory szybkości na polu bitwy tak dla uzyskiwania wyników, jak i uniknięcia strat. Szybkość jest niestety najkosztowniejszym elementem tak w okrętach wojennych, jak samochodach, koniach wyścigowych i kobietach. Stosunkowo niewielki wzrost szybkości może podwoić cenę produktu."

Tak, tempo kampanii Wavella, fenomenalne tempo pościgu Armii Nilu za Grazianim to nie był ani przypadek ani naśladownictwo Niemców. To było zrozumienie i realizowanie zasad mistrza przez wiernego ucznia.

TRADYCJA RAFU I ZMOTORYZOWANEGO LAWRENCE'A

Wavell w bitwie pod Sidi Barani doprowadził zgranie trzech rodzajów broni: czołgów, lotnictwa i marynarki — do prawdziwego dzieła sztuki. Co najciekawsze, to to, że nawet w tej dziedzinie wpływ ostatniej kampanii Allenby'ego da się łatwo odszyfrować.

Weźmy ofensywę palestyńską z września 1918. Od czego ją Allenby zaczyna? Zapewnia sobie przedtem zdecydowaną przewagę w powietrzu, rozpoczyna bitwy od zbombardowania nieprzyjaciela. Wavell dokładnie to opisał: "Jednocześnie z rozpoczęciem bitwy siły powietrzne wystartowały dla zbombardowania miejsc postoju głównych sztabów tureckich. Było ono tak skuteczne, że w zupełności przerwało komunikację między sztabem ósmej armii w Tulkeram a Limanem von Sanders w Nazarecie, oraz opóźniło połączenia z siódmą armią. Myśliwce własne patrolowały ponad głównymi lotniskami nieprzyjaciela, nie pozwalając ich opuścić samolotom wywiadowczym. Dzięki temu nieprzyjacielski głównodowodzący pozostawał w prawie zupełnej nieświadomości przebiegu wydarzeń na froncie. Dopiero zjawienie się rankiem drugiego dnia brytyjskiej brygady kawalerii w siedzibie jego sztabu w Nazarecie, dało mu do poznania, że coś naprawdę poważnego musiało przydarzyć się jego armii."

Zupełnie podobnie, wprost jota w jotę działa lotnictwo brytyjskie w czasie bitwy pod Sidi Barani. Czy Wavell zatym wzorował się w użyciu lotnictwa tylko na Niemcach?

Idźmy dalej. Front nieprzyjaciela złamany, Niemcy i Turcy się cofają. Oto, jak Allenby używa przydzielonego mu RAF'u: "W ciasnym wąwozie Wadi Fara, prowadzącym z Nablus do Jisr ed Damieh długa kolumna dział, ludzi, i taborów została zaskoczona i zbombardowana przez lotnictwo. Droga na przedzie została wkrótce zakorkowana i wszelki ruch ustał; znaleziono tam blisko sto dział i tysiąc pojazdów, gdy nadciągnęła własna piechota. Ci co ze zdemoralizowanej kolumny ocaleli, rozbiegli się po górach, gdzie większa część została wzięta do niewoli przez naszą kawalerię w ciągu dni następnych. RAF już przedtem dokonał istotniejszych choć nie tak rzucających się w oczy zniszczeń na drodze między Tulkeram i Nablus."

Działalność lotnictwa niemieckiego zaskoczyła niektórych generałów europejskich w r. 1939. Na pewno nie zaskoczyła Wavella. On nie wiele mógł się nauczyć w tej dziedzinie od Niemców, raczej oni mogli za klasyczne użycie lotnictwa uznać opisane wyżej działania sił powietrznych Allenby'ego.

No a sławny pułkownik Lawrence, którego działalność pustynna kojarzy nam się zwykle z widokiem szeików w burnusach, chyżych arabskich rumaków, i karawan wielbłądzich? Otóż i on skończył na . . . motoryzacji. Tak, podczas ostatniej kampanii, dysponuje trzema samochodami pancernymi, dwoma samolotami, i przy ich pomocy znakomicie spełnia otrzymane zadanie: zniszczenia połączeń kolejowych na tyłach nieprzyjacielskich. A przedtem jeszcze, w r. 1917 "Patrole Lekkich Samochodów" trzymały w szachu w pustyni libijsk ej wojowniczy szczep Senusów. A potem w latach 1926—1930 oficerowie brytyjscy stacjonowani w tejże Abbasii, gdzie ja przebywam na kursie w tej chwili — nudzący się w czasie pokoju. zapaleni sportowcy, na własną rękę rozpoczęli patrolowanie samochodami pustyni Sinai i pustyni libijskiej. Dzięki ich doświadczeniom w dużej mierze angielska broń pancerna i zmotoryzowana w r. 1940 górowała w pustyni nad przeciwnikami z włoskiej dywizji pancernej Ariette.

Tak. Twierdzenie, że w dziedzinie użycia sił zmotoryzowanych tak na lądzie, jak i w powietrzu Wavell wzorował się po prostu na Niemcach jest zbyt ryzykownym i zbyt odbiegającym od prawdy uproszczeniem sytuacji.

POWTÓRZENIE EPOPEI KRÓLA FEISALA

Strategia brytyjska w Palestynie i Syrii w latach 1915 — 1918 oparła się na Arabach, zachęcając ich do walki z Turkami. Pułkownicy Lawrence i Newcombe byli najgłośniejszymi realizatorami tej koncepcji.

Obecnie historia Lawrence'a i Arabów powtarza się w Libii. Gazety są od trzech miesięcy przepełnione wiadomościami o szczepie Senusów, o ich dzielności, demokratyzmie, cierpieniach, jakie spotykają ich ze strony faszystowskich Włochów. Jakiś tamtejszy mufti został istotnie w dziwnie podstępny sposób zgładzony przez dwójkę włoską, a jego następca uciekł do Egiptu i z Kairu wydaje proklamacje do swego plemienia wzywające do świętej wojny po stronie W. Brytanii i zjednoczonych narodów. Legiony Senusów tworzą się w Libii.

Czy słuszne będzie twierdzenie, że Wavell wzoruje się na niemieckiej piątej kolumnie? Przypuszczam, że i w tej dziedzinie tak świeże na tym Średnim Wschodzie wspomnienia epopei Lawrence'a, dobrego znajomego Wavella, odegrały decydującą rolę.

Epopea Lawrence'a odżyła nie tylko w Libii i Cyrenajce, ale i w Abisynii. Ogłoszono już oficjalnie, że oficerowie brytyjscy od szeregu miesięcy działali na tyłach włoskich organizując powstanie Abisyńczyków. Zaopatrywani z powietrza, mieli łączność radiową z Kairem. Abisyńskim Law-



Karykatura Wavell'a — rys. Jan Rościszewski /Tom Titt/

rence'em był brytyjski pułkownik nazwiskiem Wingate, który swego czasu pracował pod Wavellem w Palestynie. Podobno oficerowie naszej Legii Oficerskiej mieli być użyci pod jego dowództwem w Abisynii.

ISTOTA WOJNY W PUSTYNI — TO PROBLEMY ADMINISTRACJI

Wavell był w sztabie Allenby'ego. To nie jest nowy człowiek w pustyni. Przeciwnie na niezmierzonych obszarach piasków, kamieni, pustkowi Średniego Wschodu czuje się, jak u siebie w domu. Pamięta, że ofensywę Allenby'ego poprzedziły dwuletnie przygotowania techniczne, administracyjne, że trzeba było wybudować linię kolejową przez Pustynię Synajską, rurociągiem doprowadzić wodę z Nilu aż pod Gazę, że kluczową rolę odgrywało 30 tysięcy wielbłądów korpusu zaopatrzenia.

Wavell był przed dwudziestu laty we wspaniałej szkole, gdzie się nauczył, gdzie w pełni zrozumiał, że wojna w krainach Wschodu toczy się tylko w 10 procentach na polach bitew z nieprzyjacielem, a w 90 procentach jest to wojna z przestrzenią, bezdrożami, brakiem wody, żywności, malarią.

WYCHOWANEK KLASYCZNEJ STRATEGII BRYTYJSKIEJ

Wpływ Allenby'ego na Wavella był wielokrotnie silniejszy, aniżeli współczesnej strategii niemieckiej. To stwierdzenie jednak nie wyjaśnia nam w pełni tajemnicy wspaniałego talentu militarnego Wavella, który jak meteor zajaśniał nagle na firmamencie tej wojny. Pełne wyjaśnienie tajemnicy jego talentu da dopiero twierdzenie: tak Allenby, jak i Wavell to są wychowankowie strategii brytyjskiej. Obaj ci wielcy wodzowie są krwią z krwi i kością z kości klasycznej strategii brytyjskiej.

Tak. Naród brytyjski zawsze ceniliśmy jako naród kupców i marynarzy, polityków, wynalazców, filozofów i uczonych. Brytyjczycy nie tylko wydali Newtona, Locka, Stephensona. Wydali również wielkich, wspaniałych wodzów: Marlborough, Wellingtona, Kitchenera. W ciągu ostatnich trzystu lat naród brytyjski wytworzył własną, samorodną strategię.

Tradycyjna, klasyczna strategia brytyjska odbiega znacznie od kontynentalnej, która polegała od wieków i polega nadal na skupieniu sił, uderzeniu na przeciwnika i zniszczeniu jego sił żywych. Napoleon, Clausewitz, Foch zgadzają się na tym punkcie w zupełności. Stąd decydującymi dla wojen kontynentalnych będą wielkie bitwy, jak w historii polskiej: Grunwald, Kirchholm, Kłuszyn, Beresteczko, Wiedeń, Lipsk, bitwy nad Wisłą i Niemnem.

Otóż strategia brytyjska na przestrzeni ostatnich trzech stuleci doprowadzała do wygrywania wojen na podstawie innych zasad, bliższych raczej Fabiusza Kunktatora, czy marszałka Saskiego /zdaniem którego należało dążyć do wygrywania wojen bez bitew/. Wojna z Hiszpanią w wieku 16-ym, wojna sukcesyjna hiszpańska na przełomie 17-go i 18-go wieku, wojna z Francją i Hiszpanią, w połowie 18-go, wojna siedmioletnia, wreszcie wojny napoleońskie, dzięki którym W. Brytania zdobyła w ciągu trzech stuleci stanowisko pierwszej potęgi świata — dostarczają na to dowodów. Zwycięstwo w nich W. Brytania zawdzięcza bynajmniej nie wygrywaniu wielkich decydujących bitew, ale: 1/ ruchliwej, choć stosunkowo słabej ilościowo dywersji stosowanej za to na możliwie najszerszym froncie, co zmuszało przeciwnika do rozproszenia swych sił; 2/ wykorzystywaniu tak strategicznego, jak taktycznego zaskoczenia; 3/ atakowaniu nie sił zbrojnych, ale punktów decydujących gospodarczo dla nieprzyjaciela /n.p. zdobywanie galer ze srebrem płynących z Ameryki hamowało zbrojenia Hiszpanii/; 4/ finansowaniu sprzymierzeńców dla zwalczenia wspólnego przeciwnika /sojusz W. Brytanii z Polską był właśnie przejawem tej tradycyjnej strategii brytyjskiej, choć niektórzy naiwni moi współrodacy są przekonani, że to talent dyplomatyczny dał nam ten sojusz/; 5/ dokładnej, drobiazgowej administracji, niezbędnej dla prowadzenia wojny, długiej w czasie i na tak ogromnych przestrzeniach.

Zasady strategii napoleońskiej, Clausewitza i Focha o ileż są pierwotniejsze, ciaśniejsze, zasady strategii brytyjskiej o ileż szersze, bardziej skomplikowane, o jakże większych horyzontach. Wojna kontynentalna, europejska to jest wojna krótka w czasie i ograniczona w przestrzeni. Wojna dla wielkiej Brytanii nie zna ograniczenia w czasie i przestrzeni. Toczy się na całym globie, po wszystkich oceanach, może trwać lata.

Gdy strategia brytyjska odchodziła od tych zasad, gdy wysłała wielkie armie w głąb kontynentów kończyło się to niedobrze: klęską pod Saratogą i utratą Stanów w czasie amerykańskiej wojny o niepodległość czy stratą miliona poległych Brytyjczyków na polach Francji w latach 1914 — 1918. Tak twierdzą kompetentni Brytyjczycy z Lyddell Hartem na czele.

Wszystkie te klasyczne elementy strategii i taktyki brytyjskiej zaobserwowaliśmy tak u Allenby'ego, jak i Wavella. Liczne patrole na tyły nieprzyjaciela, nieustanne wiązanie go wypadami, każące mu przypuszczać, że ma przed sobą znacznie większe siły, niż ma, w istocie zmuszające go do rozproszenia własnych sił; niespodziewane zaskakujące uderzenia skupionymi siłami na rozproszonego nieprzyjaciela i likwidowanie sił jego kolejno; niszczenie połączeń komunikacyjnych na tyłach przeciwnika przy pomocy rajdów, powstań, bombardowań z powietrza czy działań floty; oparcie się na Arabach, Senusach, Abisyńczykach; długotrwałe przygotowania administracyjne i pełne docenianie ich wagi.

Strategia brytyjska była i jest nadal niemal że nieznana społeczeństwu i wojskowym polskim. Niewątpliwie strategia polska na tym traciła i traci.

Gdy Graziani szedł na Egipt miał więcej wojska i więcej nowoczesnego sprzętu, aniżeli miał go Wavell. Mógł w pełni korzystać z doświadczeń wojennych niemieckiego sprzymierzeńca. Jeśli przegrał, to dlatego, że nie miał za sobą szkoły Allenby'ego, nie miał za sobą długich wieków doświadczenia strategii brytyjskiej. Strategia włoska wielokrotnie ustępuje brytyjskiej.

WAVELL — WYKWITEM KULTURY ANGLOSASKIEJ

Wavell był jednym z nielicznych generałów, którzy przed 1939 rokiem przewidzieli charakter nadchodzącej nowej wojny. Obok Sikorskiego, de Gaulle'a, Wavell miał też zupełnie proroczą wizję nowej wojny. W wykładach o dowodzeniu, które wygłosił przed wojną w Cambridge*/, widział przyszłych generałów rozjeżdżających w czołgach na czele swych wojsk na polach bitew, lub dowodzących z samolotów. Kiedy indziej domagał się, aby każdy wyższy dowódca odbył półroczną praktykę w RAF'ie. Po manewrach w Rosji, których był świadkiem, z miejsca uznał wielką przyszłość wojsk spadochronowych. Skąd się wziął ten talent przewidywania charakteru przyszłej wojny u tego generała, skoro niejeden z jego kolegów tkwił w konserwatyźmie i ciemnocie, ślepy na postępy techniczne, na marsz świata w tempie samochodów i samolotów?

Odpowiedź na to jest jedna: Wavell to nie jest tylko i wyłącznie wojskowy, Wavell to jest humanista, dla którego nic co jest ludzkie nie jest obce. Znajomi nazwali go "*Eighty-book Wavell*" ze względu na bibliotekę, z którą się wozi wszędzie, od Kairu po Singapore. Wiele z tych książek to poezje — czyta je zazwyczaj podróżując samolotem.

W swej proroczej książce o nowoczesnej wojnie de Gaulle wyjaśnia na czym jego zdaniem polegać winna istota kształcenia dowódców. Pisze: "Ćwiczyć wyobraźnię, sąd, decyzję, nie w pewnym określonym kierunku, ale dla nich samych i bez innego celu, jak ten by uczynić je niezależnymi i pewnymi — oto będzie filozofia kształcenia dowódców. Jednakowoż, ci którzy posiadają talent głębszej refleksji, łatwości uogólnień, pewności sądu, bez których zasoby wiadomości fachowych byłby bez wartości, rozwijaliby go źle, gdyby stosowali go wyłącznie do zagadnień wojskowych. Potęga umysłu wymaga różnorodności, której się nie znajduje w wykonywaniu wyłącznie swego zawodu, podobnie jak nie można się zabawić wyłącznie w towarzystwie rodziny. Prawdziwą szkołą dowodzenia jest dopiero — kultura ogólna. Dzięki niej umysł ludzki się uczy, jak działać w sposób uporządkowany, rozróżniać zagadnienia istotne od drugorzędnych, rozpoznawać przyczyny rozwoju i przeszkody tegoż, jednym słowem podnieść się do poziomu, skąd dostrzega się całość zagadnień bez uprzedzeń i przesądów. Nie ma wielkiego wodza, któryby nie odczuwał i nie smakował w dziedzictwie ducha ludzkiego. U źródeł zwycięstw Aleksandra Wielkiego odnajdziemy zawsze Arystotelesa."

Pierwszy zwycięski wódz aliancki tej wojny zawdzięcza swe sukcesy życiowe z dziedzicznym członkostwem izby lordów włącznie: mistrzowi Allenby'emu, szkole strategii brytyjskiej, oraz wielkiej kulturze anglosaskiej.

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

* Pisane w marcu 1941 r. w obozie Abbassia pod Kairem.

*/ Wykłady te wydane p.t. *Generals and Generalship*" "ukazały się w przekładzie polskim na łamach "Polski Walczącej" w nr. 46 i 49 z 1941 r., oraz w nr. 6 z 1942 r.

WIERSZE

JESIEŃ NASZA

1

Jesień nasza trwa niezmiennie
przeszło cztery lata —
Lecą liście, krwawe liście
z drzew naszego świata . . .

Jesień nasza jakże długa!
Aż serce więdnie — —
Mgłę krakowską, szron warszawski
W każdym czuję ścięgnie,
W każdym nerwie — wiosno, łaski!

2

Spodziewałam się, jesieni,
że mi świat odmienisz —
— lecz ty wzdychasz: ach, nie wcześniej,
jak za jakie kilka wrześni — — —
Módlcie się więc za mną, liście,
szeleszczące powłóczyście —

ZŁOTO JESIENNE

Liche, jesienne pozłótki,
jak na pustych orzechach włoskich,
po raz piąty złoconych na nowo
pod bliskie Święta . . .

Merry Christmas, o moje smutki!
Best Wishes, o moje troski! . . .

MARIA PAWLIKOWSKA

PYTANIA NOCNE

Za zasłoną jest mrok. W czarnym mroku śpi mgła.
W mglistym mroku słychać głosy i kroki.
Krążę cicha codzień, krążę ślepa jak ćma
w obcym mieście, w nocy czarnej, głębokiej.

A co będzie za rok? A co będzie za dwa?
Czy odpocznę z wami, przy was — nareszcie?
Czy wybuchnie twój krzyk? Czy potoczy się łza?
Czy zobaczę siebie znów — w s w o i m mieście?

Bo za dużo już lat i za dużo tej mgły,
zwątpień, wierszy i rozważań i czekań,
bo zbyt czarna ta noc, w której jasno się śni
Ta co jest. Ta co trwa — choć daleka.

Czy wybiegniesz przed drzwi? Czy ci padnę do nóg?

Czy przytulisz, jak w dzieciństwie, do siebie?
/już za wielki mi świat i za wiele mi dróg . . . /
"Co ci dać? Czego brak?" — "Tylko ciebie. . ."

Pewno zbraknie mi łez i zabraknie mi słów
prócz tych kilku, które brzmią jak piosenka.
Spytasz: "Dziecko, to ty?" — powiem:
"Matuś, ja znów . . .
znów przy tobie, w twoim życiu, w twych rękach . . ."

Może tylko już rok? Może jeszcze nie ten?
Czy wytrzymam? Czy doczekasz, dożyjesz?
Powiedz tylko, że tak. Słyszysz — bije Big Ben . . .

Jeszcze jedna godzina przemija . . .

Londyn, styczeń 1944 r.

HALINA TERLECKA

ZNACZEK POCZTOWY

Kiedyś będąc przypadkiem na poczcie
Czarnoksiężnik /nie z prozy, lecz z pieśni/
W barwnym znaczku — niedbałym klejnocie
Cały świat i tęsknotę umieścił.

Odtąd pieczęć czarnym pocałunkiem
Dziwnej nazwy w oczach się zaznacza
I z każdego spogląda rysunku
Cała ziemia pocięta na znaczki.

Wiezie Kolumb ojczyznę narodom,
Pod księżycem śni Konstantynopol,
A na greckim niebie wiecznie młody
Marmurowy pręży się dyskobol.

Na północy zorza pachnie tranem;
Równik twarz wystawia na cyklony;
A dostojne gwarzą oceany
O podziałce "jeden do miliona."

W małym znaczku pocztowym jak w kinie
Światło czasem coś z obrazu wytrze.
Nawet Orzeł Biały już jest inny:
Niby nasz — a trochę egzotyczny.

Coraz dalszą i dziwniejszą gwiazdę
Na kopercie moich spraw umieszczam,
Ale dal pochłania każdy adres,
Każdy list pożera głodna przestrzeń.

Kiedyś jednak wiatru jasne wstęgi
Omotają maszt radosną burzą.
Wtenczas znaczek — bohater włóczęgi
Pomknie z wieścią, że koniec podróżom.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Montgomery wśród spadochroniarzy

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Włochy, z Brytyjską Dywizją Powietrzną

W Afryce jeszcze doszła mnie wieść o tragicznej śmierci gen. Sikorskiego. Przypominam sobie dobrze tę chwilę, gdy *speaker* podał ją przez radio. Był wieczór. Siedzieliśmy wtedy w naszej messie oficerskiej. Wieść o śmierci Generała wstrząsnęła nie tylko mną, ale i mymi kolegami brytyjskimi. Dopiero później, kiedy ochłonąłem z przygnębiającego wrażenia, uświadomiłem sobie, że i oni to samo przeżywają, aczkolwiek znali Sikorskiego tylko z prasy i fotografii. Niepokoili się, co będzie teraz z Polską i z Polakami. Nie znali wielu szczegółów z życia Generała, jednak jedno sobie dobrze uświadamiali, że Sikorski był nie tylko wielkim Polakiem, ale także i dla nich przede wszystkim wiernym i rozumnym sprzymierzeńcem.

Dni w Afryce Północnej upływały nam szybko, pomimo to, że, jak już wspomniałem, każdy z nich był dla nas udręką. W oddziałach naszych wrzała praca. Bowiem z decyzji Dowództwa Sił Sprzymierzonych w Afryce brytyjskie jednostki powietrzne odegrać miały ważną rolę w inwazji Włoch, zwłaszcza w pierwszych jej fazach. Ogólną ideą było, że miały one opanować ważne wojskowo obiekty na Sycylii, przygotowując w ten sposób teren dla oddziałów lądujących z morza i umożliwiając im wdarcie się w głąb lądu przez utrzymanie przejść i mostów aż do ich nadejścia. Miała zadecydować jeszcze raz szybkość oddziałów lądujących z powietrza, ich determinacja, wytrzymałość nerwowa i fizyczna i wartości bojowe, udowodnione już poprzednio w wypadzie na Brunewald we Francji i w kampanii tuniskiej. Niemcy nazywają spadochroniarzy brytyjskich "czerwonymi diabłami," nie tylko dlatego, że noszą oni czerwone berety, lecz także dlatego, że czerwień jest kolorem krwi — także niemieckiej. Jestem przekonany, że Niemcy to mają na myśli, lecz przezwanie Brytyjczyków "krwawymi diabłami" nie odpowiało ich . . . delikatnemu zmysłowi estetycznemu.

Wszystko zostało przygotowane do ostatniego drobiazgu. Drobiazgi te bowiem w chwili wykonania nabierają olbrzymiego znaczenia; od nich zależeć może sukces operacji. Wszyscy od najstarszego oficera do zwykłego strzelca wiedzieli co, jak, kiedy i gdzie mają robić. Samodzielność i inicjatywa, przy jednoczesnym zachowaniu zasady współpracy jest wszczepiana spadochroniarzowi od zarania jego kariery, od chwili, gdy się tylko "jako taki" narodził. Trzeba było widzieć tę mrówczą pracę oficerów i żołnierzy, ich samozaparcie się, poświęcenie nawet godzin oficjalnego odpoczynku na wbicie sobie w pamięć rzeźby i pokrycia terenu, by nabrać szacunku dla Brytyjczyków.

Są oni mistrzami w planowaniu i przygotowaniu. Administracja, u nas traktowana z uśmieszkiem, niedoceniana i nielubiana — u nich nabiera pierwszorzędnego znaczenia. Ileż to bowiem "niewdzięcznych" problemów trzeba bvło przepracować — od amunicji i żywności począwszy a na wyekwipowaniu żołnierza w morfinę i maść przeciw moskitom skończywszy. . . . Taki szczegół, jak znalezienie czasu na przeprowadzenie kursu dla żołnierzy o zastrzykach morfinowych w ogniu przygotowań do akcji mówi sam za siebie. Jeszcze przed zakończeniem kampanii sycylijskiej wyświetlano w "*news theatres*" w W. Brytanii filmy o przygotowaniu brytyjskiej akcji spadochronowej i szybowcowej na Sycylię. Film trwał krótko i nie wiem, czy dał widzowi rzeczywiste pojęcie o ogromie pracy, włożonej w przygotowanie pokazanych na filmie modeli i fotografii lotniczych i o wysiłku tych, którzy odtworzoną rzeźbę i pokrycie terenu musieli sobie wtłoczyć w pamięć.

Na kilka dni przed inwazją Sycylii gen. Montgomery odwiedził każdą z osobna jednostkę powietrzną, by okiem doświadczonego dowódcy skontrolować ostatnie przygotowania. Jego to bowiem Armii oddziały nasze miały torować drogę na Sycylię. Była godz. 11 przed poł. Słońce, jak zwykle prażyło niemiłosiernie. Wyciągnięci jakby pod sznurek stali spadochroniarze w długich liniach. Tropikalny uniform okrywał ich opalone na bronz ramiona i kolana. Skupieni oczekiwali na ukazanie się auta Generała. Nie trzeba dodawać, że "Monty" cieszy się olbrzymią popularnością wśród żołnierzy brytyjskich. Każdy chciałby się dostać do jego Armii.

Nagle na szosie ukazali się motocykliści a za nimi jedno auto. Rozległy się ostatnie komendy i oto sławny Generał znajduje się już przed frontem spadochroniarzy, stojąc jak zwykle w swoim aucie. Dowódca nasz składa raport i wszyscy oczekują regularnego przeglądu, od prawego skrzydła ku lewemu. Tymczasem Generał jednym wyciągnięciem ręki przywołuje do siebie żołnierzy. Jakże to było miłe i w jego stylu. Złamały się linie w jednym momencie i masa żołnierska, jeden przez drugiego, na wyścigi runęła do auta generalskiego. Zniknęło ono po prostu w mrowiu spadochroniarzy.

I teraz miała miejsce scena, której się nie zapomina. Generał Montgomery rozmawiał ze swymi żołnierzami na sposób iście angielski — "*joking and pulling their leg,*" a oni odwzajemniali mu się tym samym. "Monty" pyta np. jak im smakuje w Afryce zimny i wydawany w wielkich ilościach *lager* /piwo/ bryt., wiedząc dobrze, że wprost przeciwnie otrzymuje się go bardzo mało i z braku lodu, w spiekocie afrykańskiej ma ono temperaturę angielskiej herbaty. Wywiązuje się następnie gorąca dyskusja, która z narodowości brytyjskich, a prawie wszystkie są tu reprezentowane, jest lepsza. Dopiero krótka chwila ciszy, jaka powstała przed zmianą tematu, przypomina "Montyemu" właściwy cel jego wizyty i oto rozlegają się jego słowa:

"Idziecie jako pierwsi, by ponieść wojnę do kraju nieprzyjaciół. Chcieli, więc ją mają. Otwiera się nowa karta w historii tej wojny. Cieszę się, że mi was przydzielono, od dawna zdawałem sobie sprawę, że bez spadochroniarzy kampanii wygrać nie można /brawa i śmiechy; Ósma Armia zwycięskimi bojami z Egiptu dotarła do Tunisu i Bizerty, nie robiąc wielkiego użytku ze spadochroniarzy/. Nie łatwa będzie ta inwazja. Pamiętajcie jedno. Nieprzyjaciel jest wtedy "dobry," gdy już nie żyje. Wam spadochroniarzom, tego zresztą mówić nie potrzebuję. Zobaczymy się we Włoszech."

Staram się mniej więcej wiernie oddać tych kilka słów generała Montgomery'ego. Znak ręką. Brawa żołnierzy—rzecz bardzo rzadko spotykana u Brytyjczyków. Generał zaprasza do swego auta naszego dowódcę, i oto wóz jego przeciska się przez tłum i znika na szosie. Znamienna rzecz. Nic pompy: 2 motocykliści, 1 auto i 1 adiutant. Wracamy do szeregów i do gaju oliwnego. Długo jeszcze dyskutują żołnierze wizytę "Monty'ego" i jego "*jokes.*"

Wreszcie nadszedł od dawna oczekiwany dzień. Baza afrykańska zda się niezdolna już była do pomieszczenia gromadzonej przez długi czas energii, której ilość i siła potencjalna powiększały się z każdym dniem. Do portów afrykańskich zawijały bez przerwy statki alianckie wypełnione do granic pojemności materiałem ludzkim i sprzętem. Zabrakło gajów oliwnych na rozmieszczenie obozów i składów wojskowych. Milami ciągnące się namioty i całe tereny, pokryte beczkami i zbiornikami materiałów pędnych, magazynami żywnościowymi i zapasowymi, pojazdami mechanicznymi — świadczyły o gotowości bazy afrykańskiej.

Zabrakło lotnisk na pomieszczenie setek i setek samolotów. To też stały one na pośpiesznie przygotowanych terenach lotniskowych zgoła odkrytych, czekając cicho i cierpliwie na swój dzień. W portach inwazyjnych, w zasięgu nieprzyjacielskiego lotnictwa bombowego leżały już od kilkunastu dni okręty i barki inwazyjne, z załadowanymi na pokłady oddziałami wojskowymi. Po dobrych, asfaltowych drogach Afryki Północnej jeden za drugim szły transporty, zdążając ku wybrzeżu. Od czasu do czasu przemknął goniec motocyklowy z ważnym rozkazem. Nie ufano radiu ze względu na możliwy podsłuch.

Alianckie bombardowanie Włoch dochodziło do zenitu. Jak słaba musiała być Oś, że nie potrafiła się zdobyć na bombardowanie lotnicze po prostu "proszących," zda się, o to terenów, na których przygotowywano siłę do zadania jej ciosu w "fortecy europejskiej." I jakże silne z drugiej strony musiało być alianckie lotnictwo myśliwskie, gwarantujące gromadzenie znacznych środków.

Dnia 8-go lipca poderwały się z lotnisk setki samolotów i poszły na Sycylię, by siać śmierć i zniszczenie. Późnym popołudniem tegoż samego dnia ukazały się ponad naszym obozem sznury potężnych samolotów, ciągnących za sobą na stalowych linach szybowce. Były to brytyjskie oddziały szybowcowe, wysłane na Sycylię celem opanowania ważnego mostu na drodze do Syrakuz i "uciszenia" obrony wybrzeża, a to, by umożliwić lądowanie wojskom wysłanym transportem morskim. My spadochroniarze wybiegliśmy wszyscy przed namioty i życzyliśmy im powodzenia i szczęśliwego powrotu.

Wiedząc, że nasz dzień jest jutro, zazdrościliśmy im dnia dzisiejszego. Za kilka godzin będą już w Europie, na ziemi nieprzyjaciela, walcząc i bijąc go, bo tego byliśmy pewni, podczas gdy my mamy jeszcze czekać 24 godziny. A maszyny z potężnym i równomiernym hukiem przelatywały wciąż nad naszymi głowami. Z portów inwazyjnych odeszły pod osłoną jednostek bojowych pierwsze statki i barki transportowe.

Wróciliśmy do naszej messy oficerskiej i skupiliśmy się wokół wojskowego aparatu radiowego, by, znając długość fali przejmować pierwsze rozkazy i wiadomości. Oficjalny brytyjski dziennik radiowy poza "normalnymi" wiadomościami o wzmożeniu nalotów alianckich na Sycylię nie przyniósł nic z interesującego nas bezpośrednio teatru wojennego.

Wieczór upłynął szybko. Zaobserwowałem dziwną zmianę u mych przyjaciół brytyjskich —byli jakoś dziwnie rozmowni, przyjacielscy i bardziej osobiści. . . . Opadła jakoś maska chłodu i obojętności tak zwykła u nich w stosunkach towarzyskich, nieprzekraczających nawet w armii ram "towarzyskości." Może było to pod wpływem chwili a może ujawniającym się już dzisiaj efektem oczekiwanego jutra.

Myśląc o nim, udaliśmy się dość wcześnie, jak na Afrykę pod drzewa oliwne i wślizgnęliśmy się pod siatki przeciwmoskitowe. W kwadrans czasu cały obóz spał. Czuwały tylko warty.

STEFAN HAWLENA

Polscy artylerzyści w X . . .

Przyległa do dzikich skał X . . ., przykryła się siatką ochronną i czujnie patrzy przez Kanał w stronę Calais—baterią artylerii przeciwlotniczej ciężkiej. A wróg jest blisko, pewną ilość mil — . . . minut lotu. W pogodne dnie widać budynki w Calais, ruch kolejowy, słońce iskrzy się w szybach po "tamtej" stronie.

Tymczasem w baterii życie płynie normalnie. Dziś bateria jest w złym nastroju. Anglicy wspominają nieustannie jakieś "foki." Wiadomo, naród szerokie oceany i faunę morską miłujący. Polacy klną oczywiście w ojczystym języku. Przyczyną złego humoru jest zbyt długo trwający zastój w interesie. Pomyślcie tylko już od dwóch dni nie strzelaliśmy!

Niskie chmury wiszą nad cieśniną. Pada przenikliwy, drobny deszcz. Obsługa dokonuje przeglądu i regulacji sprzętu. Anglicy robią to z wrodzonym poczuciem obowiązkowości. Pracują jak maszynistka, która czyści maszynę do pisania. Cały ten "*business*" uważają za przykre skutki grzechu pierworodnego.

Inaczej Polacy. 1000 lat tradycji żołnierskiej, ciągłej walki z "przyjemnymi" sąsiadami nie mogło pozostać bez wpływu na charakter żołnierza polskiego i jego stosunek do broni. W pracy polskich artylerzystów widać żywe zainteresowanie i "ciepłe" uczucie do tego wspaniałego sprzętu. Pracują z przejęciem. Wszak nie tak dawne to czasy, gdy ułan nazywał swą szablę pieszczotliwym imieniem. Stosunek żołnierza polskiego do broni nie zmienił się i dziś.

Namaszczone przedziwnymi kosmetykami smarów, ociężałe działa, poddają się biernie wprawnym rękom obsługi. Przelicznik i dalmierz figlarnie przymykają swe oczy—lunetki. A tu deszcz leje jak cholera.

Nagle zadźwięczał dzwonek alarmowy. Są w baterii ludzie muzykalni, ale nikt nie zaprzeczy, że dźwięk dzwonka alarmowego jest najpiękniejszą symfonią świata. /Może zresztą przesadziłem, bo w nocy czasem wolałbym n.p. jakąś kołysankę/.

Nie upłynęło kilkadziesiąt sekund i bateria jest gotowa do akcji. A od strony Calais nadciąga wróg. Szybki, kąśliwy, niebezpieczny, chytry. Ale bateria nie jest ślepa ani bezbronna. Szybkie patrole penetrują obszar, z którego spodziewana jest napaść; szybkie, bo pędzą 300.000 km/sek. Wracają, meldują sprawnie o pojawieniu się npla. To fale elektromagnetyczne. Radiolokacja — wiedza na usługach wojny.

Samoloty niemieckie próbują zaskoczyć. Za parę minut będą w zasięgu dział. Bateria w radosnym nastroju. Pogodę ducha zaciemnia jedyna troska. Żeby nie ominęły, nie poleciały inną drogą.

Lecą. Próbują przedrzeć się przez pierścienie obronne i dotrzeć do Londynu. Jeżeli osiągną swój cel, legnie w gruzach kilka budynków w Londynie, poleje się krew i krótki komunikat doniesie o stratach i szkodach wyrządzonych przez bomby *Luftwaffe.*

Już się zbliżają. Silne zachmurzenie nie jest przeszkodą w skutecznym prowadzeniu ognia. Trzeba tylko zimnej krwi i przytomności umysłu i błyskawicznej orientacji. Samolot pozostaje w zasięgu dział tylko kilka minut, czasem zaledwie kilkadziesiąt sekund. W tym czasie powinien być trafiony. W przeciwnym razie można próbować metody "sypania soli na ogon."

Padają energiczne komendy. Wreszcie: "*Predictor steady*" i "*fire.*" Bateria grzmi groźnie, przekonywająco. Samolot ukryty za chmurami wyprawia niesamowite akrobacje. Zmienia kurs, wysokość. Manewry te odbywają się przy szybkości przeszło 300 mil/ godz.

—"Nie kochasiu" — perswadują gromko działa — "myśmy ciebie w gościnę nie zapraszali, ale skoro już przyleciałeś zostaniesz godnie przyjęty. Na nic te wykrętasy."

Oficer kierujący ogniem w i d z i samolot pomimo gęstych chmur i spokojnie i skutecznie kieruje ogniem. Po kilkunastu sekundach przychodzi meldunek o gwałtownym obniżeniu się samolotu.

Za chwilę słychać nieregularną pracę silników i w końcu ukazuje się płonący "Heinkel 177," który z hukiem i sykiem wpada do morza. W powietrzu wykwitają spadochrony.

—"Nie jest rzeczą przyjemną kąpać się w morzu o tej porze roku" — stwierdza rzeczowo Anglik.

Pełne urozmaicenia jest życie nad Kanałem. Wieczory wypełnione są częstą hałaśliwą dysputą dwóch artylerii nadbrzeżnych; padają ważkie /o, i jak jeszcze/ argumenty, trzęsą się zarówno skały tutejsze i posady Calais. Wreszcie zniecierpliwiony rozmówca angielski wysyła "Maraudery." Widać błyski, eksplozje bomb i przeciwnik milknie przekonany ciężarem argumentów.

I tak dzień za dniem, noc za nocą trwa walka o życie i bezpieczeństwo mieszkańców Wielkiej Brytanii. O wspólną sprawę.

Już prawie rok trwają tu polscy artylerzyści, walcząc dosłownie ramię przy ramieniu z brytyjskimi kolegami.

Z początku było ciężko. Prowadziliśmy walkę na dwa fronty: z *Luftwaffe* oraz z trudnościami w opanowaniu języka angielskiego a przede wszystkim angielskiego *drillu.* Osiągnęliśmy pełne zwycięstwo. Dziś z ust polskich artylerzystów przy baterii angielskiej padają ostre komendy angielskie i sprawne meludunki. No, a co do drugiego frontu t. zn. lotnictwa niemieckiego to chyba wiadomo.

Pomimo niewygodnego życia obozowego w namiotach, pomimo uciążliwej codziennej pracy i nieustannego czuwania, skadrowana bateria Art. Plot. Ciężkiej z niestygnącym zapałem uczestniczy w walce, ucząc się równocześnie trudnej dla nas pracy zespołowej. Tu nie pomoże najlepszy dowódca, jeżeli zawiedzie choćby jeden z licznej obsługi. Praca skomplikowanego mechanizmu wymaga sprawności w s z y s t k i c h jego kółek.

Nie ma miejsca na wyróżnianie jednostek, wszystkie funkcje są istotne. Było by rzeczą co najmniej niezwykłą przyznanie odznaczenia za rozwiązanie /za pomocą przyrządu oczywiście/ równania chociażby drugiego stopnia, a nawet w akcji, a chociażby nawet pod ogniem karabinów maszynowych samolotu nieprzyjacielskiego.

Natomiast w razie pomyślnego wyniku strzelania, gdy śmiertelnie ranny stalowy ptak wali się na ziemię każdy w baterii ma prawo z pełnym poczuciem swojej ważności i przyjemną świadomością stwierdzić: "Zestrzeliliśmy jeszcze jeden samolot."

I w tym leży piękno zbiorowego, solidarnego wysiłku, piękno wspólnej rycerskiej walki, prawdziwego braterstwa broni.

ANTONI WRÓBLEWSKI

Bez blackoutu

Słuchając różnych stacji radiowych i przeglądając wiele czasopism z tej i tamtej strony Kanału, nazbierałem sporo ciekawostek, którymi chciałbym się podzielić.

Zmartwisz się Drogi Tony, redaktorze "Werinajska," gdy Ci powiem, że restauracja Hawełki, która była "filią" Twego biura, już nie jest dawnym "Hawełką," bo na szyldzie — jak podaje "Krakauer Zeitung" widnieje nowy właściciel: Franz Stich. Ten Stich to niewątpliwy "sztych" pod serce piwoszów krakowskich.

Ucieszą się nasi malarze w Wielkiej Brytanii, gdy się dowiedzą, że według tego samego "Krakauera" w Zakopanem zamieszkało już na stałe dwóch niemieckich malarzy; jeden Kurt Elothe, a drugi Georg . . . Śliwka. Ta Śliwka mnie najwięcej ucieszyła. Dawniej mówiło się: "Wpadł jak śliwka w kompot" — teraz chyba zmienimy: Jak Śliwka do Zakopanego. "Krakauer" zapomniał o jeszcze jednym malarzu, który został chwilowo bez mieszkania w Berlinie i bez balkonu. Jest nadzieja, że też niedługo znajdzie się w Zakopanem. Wkopany już jest na pewno.

"Litzmannstaedter Zeitung" czyli gazeta "miasta Łodzi" zamieszcza korespondencję z Warszawy: "Na ulicach wiele wózków z książkami, na których sprzedawana jest wysortowana polska literatura sensacyjna . . ." . . . Niejeden Niemiec, który przedtem był parobkiem, dziś jest panem i musi nim być, jeżeli chce się utrzymać . . . Ten "Litzmannstaedter Zeitung" to istotnie wysortowana literatura sensacyjna, wypadki wojenne bowiem każą nam oczekiwać, że niedługo niejeden "pan" niemiecki będzie chciał być parobkiem, tylko nie wiadomo, czy zechcą go utrzymać przy . . . życiu.

"Neues Wiener Tagblatt," gazeta wiedeńska, zamieszcza notatkę o największej fabryce przeróbki tytoniu w Małopolsce Wschodniej, w Jagielnicy. Podaje, że w roku 1943 użyto pod uprawę tytoniu 5,000 hektarów, a fabryka zatrudniała w czasie kampanii 750 robotników. Zacząłem się zastanawiać co oni tam fabrykują, bo do tytoniu — trzeba przyznać — Niemcy szczęścia nie mają: o egipskim śnili nadaremnie, przedni turecki im się nie udał, machorka rosyjska bardzo im zaszkodziła, cygaro ich dusi, a macedoński najprzedniejszy uprawia im R.A.F. na "Unter den Linden."

Jedna z gazet niemieckich, wychodząca na Śląsku, donosi o skazaniu na rok więzienia niejakiej Berty K. z Katowic, Niemki, która do szeregu urzędów i osobistości niemieckich wysłała obelżywe, anonimowe listy protestujące przeciw przedłużaniu wojny. . . Zastanawiające. Zamknęli ją tylko na rok? Czyżby Adolf obliczał, że za rok będzie koniec? Że wytrzymałość "wałów" w Europie równa się dwunastu miesiącom kryminału Berty K.?

Czy wiecie, że w Równem wychodziło w r. 1943 pisemko "ukraińskie" "Deutsche Ukraine Zeitung," które między innymi, przyniosło taką sensacyjną wiadomość polityczną: "Uprawa rycynusu została na Ukrainie znacznie rozwinięta. Na rok 1944 przewidziane jest dalsze zwiększenie powierzchni uprawnej. Wypróbowano dojrzewający wcześniej gatunek rycynusu, co pozwoli na przesunięcie granicy uprawy bardziej na północ . . ." Rycynus uprawiany bardziej na północ? Zdaje się, że ten rycynus zaczął przedwcześnie działać i nastąpiło "rozwolnienie" na wszystkich frontach. Czy przypadkiem nie dostarczano tego samego ukraińskiego rycynusu armii niemieckiej w Afryce, że taka straszliwa biegunka panowała w roku 1943 i zagnała ich aż pod bramy Rzymu.

Słuchajcie, słuchajcie! "Kaunaer Zeitung" /Kowno/ donosi, że w teatrze miejskim w Wilnie odbyło się zebranie inteligencji litewskiej, na którym uchwalono protest przeciw zapowiedzi Stalina włączenia Litwy do Z.S.R.R. Przemawiali: Mykolaitis, Pucinas i Cepas. Jakie to rozrzewniające! I oni protestują. A to cepasy! Teraz! Tak szybko wywietrzała im z głowy jesienna miłość z 1939.

A czy to nie jest przyjemne? "Ostdeutscher Beobachter" pisze: "Niejaki Theodor Bönicke, zatrudniony w biurze niemieckim w Wolsztynie, przyjmował od kandydatów do wpisu na "Volksliste" łapówki w postaci środków żywności. Udowodniono mu, że w siedmiu wypadkach przyjął jaja, mięso i tłuszcze. "Sondergericht" w Poznaniu skazał go na cztery lata więzienia." Biedny Theodor! Za jajka i tłuszcze zafasował cztery chude lata. A przecież oni wszyscy biorą łapówki, dostają kubany i jak to się jeszcze nazywa. Ostatnio dostali 20,000 ton bomb od Wielkiej Brytanii za przeniesienie stolicy z Berlina do Wrocławia.

Ten sam "Ostdeutscher Beobachter" zamieszcza reportaż z obozu młodzieży szkolnej, ewakuowanej z Berlina do "Janowitz." W reportażu wymienia się 130 podobnych obozów już zorganizowanych na obszarze "Warthelandu," pismo podaje, że w toku są "adaptacje" dla pomieszczenia dalszych 8,000 członków Hitler-Jugend. "Adaptacje"? Nie wiem, gdzie są te "Janowitze," ale obawiam się, że "adaptacje" przeprowadzane przez marszałka Harrisa, przy pomocy firmy budowniczej R.A.F. mogą sięgnąć niedługo i do "Janowitz." Więc lepiej wieźcie Hitler-Jugend dalej na Wschód albo na Północ, tylko mówcie im całą prawdę: Może strach, zrodzony w dzieciństwie zrobi swoje.

I znowu łódzka gazeta niemiecka donosi, że w jednym z majątków na terenie Warthelandu utworzono wzorową chlewnię, w której odbywa się przeszkalanie polskich sił roboczych. Na 6 kursach przeszkolono 170 osób. To dobra myśl. Taką wzorową chlewnię powinniśmy otworzyć zaraz po zakończeniu działań wojennych. Czołowym knurem z tuszy i "zasług" będzie Goering, a pomniejsze świnie znajdziemy według własnej kartoteki. Przeszkolimy na pewno więcej, niż 170 sztuk na jednym kursie.

"Deutsche Ukraine Zeitung" tym razem przynosi wiadomość z Wołynia o wielkiej uroczystości, która odbyła się w Łucku. Był to zjazd niemieckich inspektorów rolniczych z Wołynia. Powiedziano sobie na tym zjeździe dość szczerze, że ludność na ogół wszędzie jest skłonna do oddawania kontyngentów, o ile nie jest "niepokojona z zewnątrz." Te "niepokoje" z zewnątrz wybitnie psują humor nie tylko niemieckich inspektorów rolniczych. . To też nic dziwnego, że sam "Landesbauernfuehrer" Körner, prawdopodobnie czołowa persona w Łucku, przemawiając na zjeździe użył pięknej figury retorycznej stwierdzając, że: "akcja ewakuacyjna ludności ukraińskiej, przeprowadzona w czasie cofania się wojsk niemieckich za Dniepr była największą wędrówką ludów i bydła wszystkich czasów." O nie, Herr Körner, pan się myli! Największa wędrówka bydła zacznie się dopiero wtedy, gdy stoliczka z Wrocławia pojedzie do Wiednia, z Wiednia jak po rycynusie ukraińskim na granicę Szwajcarii, a po drodze bum, bum i co wam zostanie? Georg Śliwka, pierwsza sława malarska po Adolfie w Zakopanem i gruba Berta w kryminale.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Poszukiwani

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do biura Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

WYKAZ Nr. 36

1. **Andrzejewski** Czesław ppor. — poszukuje matka Helena i siostra Wiktoria, zam. w Teheranie, Obóz Cywilny Nr. 1. /6197/.
2. **Apollo** Jan — poszukuje Roman Apollo /Anglia/ /5555/.
3. **Ajzenberger** Aleksander sierżant — poszukiwany przez żonę Annę i dzieci — Olgę Kazimierę i Tadeusza oraz matkę Marię zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
4. **Alinski** Bolesław szer. — poszukiwany przez żonę Michalinę i dzieci — Sławomira, Kazimierza i Franciszka zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
5. **Ambrozik** Piotr sierż. — poszukiwany przez żonę Stanisławę i dzieci — Romualda Jolantę, Bogusława i Danutę zam. w Z.S.R.R. /R/27/.
6. **Askaldowicz** Włodzimierz ppor. — poszukiwany przez żonę Janinę, rodziców Rysak Marię i Antoniego oraz siostrę Helenę zam. w Z.S.R.R. /R/13/.
7. **Baliszewski** Wacław ur. 16.XI.1925 r. — poszukuje matka Antonina, zamieszkała Polish Settlement Tengeru p. o. Arusha — Tanganyka /6413/.
8. **Bargławski** Bronisław plut. ur. 3.9.10 r. Boguszyce, pow. Łomża — przez żonę — Wiktorię, Tangeru-Arusha-Tanganyka EA. /6640/.
9. **Brzeziński** Zygmunt ppor. 32 lata — poszukuje — Leonia Popławska Alger /5555/.
10. **Bar** Bolesław plut. — poszukiwany przez żonę Eugenię i dzieci Bolesława i Mariana oraz matkę Jabłońską Katarzynę i siostry Stefanię i Helenę zam. w Z.S.R.R. /3800/71/.
11. **Bęgowski** Józef por. zaw. — poszukiwany przez ojca Jana i siostrę Marię zam. w Z.S.R.R. /3800/43/.
12. **Biec** Ksawery szer. — poszukiwany przez żonę Kazimierę i syna Józefa zam. w Z.S.R.R. /R/13/
13. **Biernał** Karol ppor. rez — poszukiwany przez matkę Marię zam. w Z.S.R.R. /3800/42/.
14. **Biłozor** Wasyl ppor. — poszukiwany przez żonę Janinę i córkę Tatianę zam. w Z.S.R.R. /3800/52/.
15. **Bobowski** Edward ppor. — poszukiwany przez rodziców Jana i Antoninę zam. w Z.S.R.R. /3800/62/.
16. **Bogacz** Kasper wachm. — poszukiwany przez żonę Stefanię i syna Zdzisława zam. w Z.S.R.R. /3800/52/.
17. **Brodko** Jan ogniomistrz — poszukiwany przez żonę Katarzynę i dzieci Marię, Barbarę i Agnieszkę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
18. **Buczek** Franciszek bosman — poszukiwany przez żonę Aleksandrę i dzieci Irenę i Zbigniewa zam. w Z.S.R.R. /R/13/.
19. **Buczyński** Jan kpr. — poszukiwany przez matkę Kazimierę i rodzeństwo — Edwarda Stefana i Kazimierza zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.
20. **Cichura** Władysław por. był w Ostasz- przez żonę Eugenię i dzieci Wiktorię i zam. w Z.S.R.R. /R/11/.

Cichacz Jan vide poz. 166.

21. **Cieślik** Stanisław plut. — poszukiwany przez żonę Zofię i dzieci Ryszarda, Wacława i Kazimierę /3800/77/.
22. **Cybulski** Napoleon por. — poszukiwany przez żonę Stanisławę i syna Stanisława zam. w Z.S.R.R. /3800/77/.
23. **Czermak** Rudolf sierż. — poszukiwany przez córkę Józefę oraz rodzinę — Olga Karol, Rudolf, Maria i Koziej Maria zam. w Z.S.R.R. /3800/75/.
24. **Czerwiński** Piotr podoficer — poszukiwany przez żonę Bronisławę, córkę Genowefę i syna Józefa przebywających w Z.S.R.R. /R/13/.
25. **Chojnowski** Jan kpr. — poszukuje Wydział Rodzin Wojskowych, 5, West Halkin Street, London, S.W.1. /6406/.
26. **Czychiryn** Kazimierz ur. 1898 r. kpt. D.O.K. Lwów — poszukuje żona Celina Czychiryn, Alger /5555/.
27. **Dębiński** Mieczysław plut. — poszukiwany przez żonę Irenę w Z.S.R.R. /3800/68/.
28. **Dobrzyniecki** Tomasz sierż — poszukiwany przez żonę Zofię zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
29. **Doncow** /bez imienia/ szer. — poszukiwany przez matkę Zuzannę zam. w Z.S.R.R. /3800/73/.
30. **Delinikajtis** Janusz ur. 1897 r. por. rez. — poszukuje żona Anna, Alger. /5555/.
31. **Drozd** Paweł plut A.P. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i córki — Czesławę, i Filomenę zam. w Z.S.R.R. /R/14/.
32. **Dudzik** Leon — poszukiwany przez matkę Helenę i siostrę Romanę zam. w Z.S.R.R. /R/62/.

JESZCZE W SPRAWIE ALBUMU BRYGADY PODHALAŃSKIEJ

W nr. 3. "Polski Walczącej" z b.r., ukazał się artykuł-krytyka p.t. "Książka spóźniona o trzy lata."

Podobnie jak Zbyszewski muszę zacząć od pochwał. Otóż nie tylko ów nieszczęsny "Album Podhalański," ale i artykuł Zbyszewskiego należy zaliczyć do "efektownych"; i nie tylko do efektownych, ale i pożytecznych.

To wszystko, co Karol Zbyszewski napisał, jest chyba streszczeniem tego, co myśli każdy Podhalanin, zamykający z niesmakiem i zdziwieniem ów drogi /w cenie/ album, o którego historii nie czas i miejsce pisać . . .! Zbyszewski napisał to, co czuł i jak czuje i myśli każdy z nas: napisał prawdę . . . przede wszystkim prawdę. I za to nie trzeba się obrażać; nie powinno to nawet boleć.

A jednak . . . A jednak w artykule Zbyszewskiego jest jakaś nuta, która mimo woli — przy omawianiu "naszej wspólnej własności," jaka jest skromna w dorobku, ale nie mniej droga sercu żołnierskiemu tradycja Podhalan spod Narwiku względnie spod Ankenes — boli i razi.

W pierwszej szpalcie artykułu pisze Zbyszewski: "Kampania norweska poszarzała . . ." — i dalej: "na domiar Narwik stracił swą egzotyczność! Polacy tam byli! No to cóż takiego nadzwyczajnego? . . . Anglikom, których jeden znajomy zginął w Grecji, inny . . . /tu następują wyliczenia miejsc w pięciu częściach świata/ — też obecność Polaków w Norwegii nie zaimponuje." . . . "Wojna światowa, to znaczy nie tylko, że na całym świecie walczą, ale to, że najmniej spodziewani ludzie znajdują się w najbardziej dziwacznych miejscach."

Istotnie, to samo można by trawestując trochę, powiedzieć o artykułach. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że Zbyszewski napisał w powyższym zdaniu zupełnie zresztą słusznie: ". . . że na całym świecie walczą" i . . . "w najbardziej dziwacznych miejscach."

Więc jeżeli mówimy o wartości względnej tego czy innego wydawnictwa, to nie mieszajmy tu pojęć bezwzględnych w swej wartości, którymi są właśnie fakty, że żołnierz polski walczył w najbardziej dziwacznych miejscach i — aby tam dojść, przeszedł jak każdy z nas przez jakieś tam góry i jakieś tam rzeki, nie tylko przez most w Zaleszczykach. Aby walczyć — obojętnie gdzie, byleby walczyć rozpacznie, beznadziejnie /w 1940 r., który nie był jeszcze rokiem "pewności"/, nawet w "najdziwaczniejszych miejscach" naszej kukiełkowatej kuli ziemskiej.

Skrzynka pocztowa

To też wydaje mi się, że pióro Zbyszewskiego, pióro wnikliwego krytyka, "wiwisekującego" umiejętnie zjawiska życia, schłostawszy słusznie album podhalański czy jego "sprawców" — wylało niepotrzebnie kropelkę atramentu, która pokryła cieniem prawdę, w imię której artykuł został napisany.

A prawdą jest, że — nie rozdzierając szat, ani nie bawiąc się w "cierpiętnictwo" — "gdzieś tam" . . . na cmentarzyku "naszym" w Haakvik: pod obcą grudą ziemi, którą porasta obca kosodrzewina leżą nasi druhowie serdeczni. I moi i Zbyszewskiego!

Są Świętości i "świętości": jedne zakłamane i szychem bronzowego frazesu prawo do życia w tradycji sobie zdobywające, ale są Świętości prawdziwe, o których lepiej nie mówić . . . a jeżeli, to prawdę, prawdę mierzoną rozpiętością krzyży drewnianych, które pozostać winny na długo symbolem i drogowskazem.

Więc nie o "imponowanie Anglikom" czy innym chodzi. Lecz o to, że trzeba tępić dyletantyzm fuszerek, pod którymi skromnie, ale i wymownie widnieje stempelek osobistych ambicji i wątpliwej zasługi. I w tym była by zasługa Zbyszewskiego, gdyby nie ta mała kropelka jadu, która zamiast spaść na głowę winnych, przysłoniła mi sobą ów: "nasz cmentarzyk w Haakvik, na którym spoczęło dużo zawiedzionych nadziei, marzeń i myśli serdecznych."

A jeśli tak jest, to czy nie lepiej było by, Panie Karolu, któryś "tam" także był, abyś zasiadłszy za stołem, napisał książkę o Narwiku. Czy nie lepiej było by, abyś dawszy jedno czy dwa ogłoszenia w gazecie, zebrał cały materiał fotograficzny: obfity i przebogaty, jaki znajduje się w ręku ludzi, którzy "tam" także byli i . . . abyś powiedział tym, którzy przyjdą po nas, kiedyś, że cena krwi polskiej wylanej na obcej ziemi nie została przekupczona za marnych 25 srebrników, ani zapomniana i że z krwi tej, będącej wprawdzie kroplą w morzu krwi z milionów ran krwawiących na wszystkich kontynentach, powstanie może kiedyś inny świat ludzkich pojęć, do którego mały wkład daliśmy — my także — wedle najlepszych naszych sił: wszyscy . . . i ci, którzy wrócili, i ci którzy zostali na cmentarzyku Brygady w Haakvik. I Pan, Panie Karolu — także.

Cezary Szaszkiewicz

P.S.—Cały mój zbiór zdjęć w ilości ponad 130 stoi do Pańskiej dyspozycji. Są tam może zdjęcia, które robiło się nie tylko wtedy, kiedy była na nie ochota i czas wolny, ale kiedy robiąc je, myślało się o tym, że wrócą one do kraju, z nami czy bez nas, ale wrócą do kraju i mówić będą prawdę.

POLACY W AFRYCE ZACHODNIEJ

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę opisać jeden przykład pięknego, rozumnego postępowania Polaków w Afryce Zachodniej, który stanowić będzie trwały ślad po ich pobycie na tym kontynencie.

Pamiętam ten dzień październikowy, kiedy grupa polskich oficerów wylądowała. Pierwsze ich kroki były trudne. Klimat i otoczenie skrajnie różne od tych, do których przywykli. Przybyli tu cicho i z punktu oddali się pracy wojskowej. Mało kto o nich słyszał. Czasami widywało się ich w kościele wśród marynarzy całego świata i czarnych. Mieli zwyczaj zajmowania tych samych miejsc w gromadzie. Czasami, ku zdziwieniu wiernych, rozbrzmiewał śpiew polski, słowa: "Boże coś Polskę . . ." Czarni zwykli byli powstawać wtedy z miejsc, oddając bezwiednie hołd modlitwie zawartej w tych słowach.

I tak czas płynął. Mijały dwa lata. Nadchodziła znowu jesień — był czas odlotu. Ulice miasta roiły się od mundurów brytyjskich — mowa polska była głośna wszędzie.

Ożywienie i ruch panował w kościele. Od świtu, rzecz dziwna, zbierali się tu biali, coś planowali, kreślili, a potem kościół zaczął przeobrażać się. Prymitywne mury wchłaniały farbę, zmieniały oblicze i postać. Tym białym w mundurach przewodził jeden — praca szła raźno. I po trzech tygodniach, o dziwo — nikt nie poznawał świątyni. Marmury ścian, plastyczne obrazy tak zmieniły wnętrze, że zapanował tu inny duch. Ludzie innych wyznań przychodzili, żeby oglądać i podziwiać. Wierni pytali, kto tak przeobraził ich świątynię? Kto zmienił spowszedniałe mury na sanktuarium, gdzie zaczęto chodzić na palcach, aby nie spłoszyć ułudy, piękna i tak wyraźnie tu panującego Ducha Pańskiego.

Sędziwy proboszcz dał odpowiedź i wyraz uczuciom wdzięczności — na kazaniu. Padły słowa znamienne: "Kościół wybudowano dawno temu — stał niewykończony i brudny i trzeba było czekać aż 15 lat, na polskich oficerów, którzy od świtu do nocy z zapałem pracowali tu ciężko, przeobrażając koszarowy bezład na piękno będące odzwierciedleniem ich dusz, ich wielkości i oddania Bogu."

W międzyczasie ten sam niestrudzony artysta malarz A.B. z Wilna przekazał kościołowi obraz Matki Boskiej. To dopełniło czary. Miejscowy biskup postanowił uczcić wkład polskich oficerów tablicą pamiątkową z wyrazami podzięki i hołdu Polakom pełniącym służbę w Zachodniej Afryce.

To jeden z przykładów. Rozglądając się po zachodnim wybrzeżu Afryki w przyszłości podróżny znajdzie więcej śladów pobytu tej stosunkowo małej grupy polskich oficerów, którzy na każdym polu, w miarę możliwości zostawiali znaki pięknego czynu i pracy pod zwrotnikowym słońcem dla czarnych i dla ich lepszego jutra.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, żołnierskie pozdrowienia

Ryszard Blusiewicz /Indie/

LOTNA BIBLIOTEKA ZRZESZENIA STUDENTÓW POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII

Na mocy uchwały Zarządu Głównego Zrzeszenia zostaje uruchomiona Lotna Biblioteka Naukowa z siedzibą w Edynburgu. Celem tej biblioteki jest ułatwienie młodzieży polskiej nie mającej możliwości rozpoczęcia, względnie kontynuowania studiów na Wyższych Uczelniach, dalszej pracy naukowej i pogłębiania już posiadanej wiedzy. Prawo korzystania z biblioteki posiadają wszyscy studenci i maturzyści pozostający w szeregach wojskowych, a przez to nie mający dostępu do bibliotek uniwersyteckich.

Koledzy pragnący korzystać z biblioteki są proszeni o podawanie tytułów książek na poziomie uniwersyteckim względnie tematu zainteresowań naukowych, co będzie podstawą dostarczenia im żądanych dzieł.

Zainteresowani winni skomunikować się listownie z kol. Ireną Sumowska, 18, Pristo Place, Edinburgh. Na pokrycie kosztów korespondencyjnych oraz opłat przesyłek pocztowych prosimy o dołączenie do pierwszego listu Postal Order'u na sumę 2s.

Zarząd Główny Zrzeszenia

Apel redakcji "Skrzydeł"

Wszyscy dobrze znamy historię naszego sztandaru lotniczego, utkanego w Wilnie i poświęconego przed Obrazem N. M. P. Ostrobramskiej.

Wilno, mimo szczególnie srogiego losu, jaki przyniosła mu ta wojna, nie zapomniało o nas lotnikach. Przysyłając nam sztandar, Wilnianki — nasze matki i siostry — nakazały nam niejako, byśmy walczyli o wolność Kraju pod znakiem Tej, co w Ostrej świeci Bramie.

Zrozumieliśmy ten apel serdeczny. Czy podczas wyprawy bombowej, czy w walce powietrznej, zawsze mamy przed oczyma obraz cudowny Ostrobramskiej, przepiękne kontury Lwowa, Warszawy, Krakowa — Polskę całą.

Dziś z inicjatywy lotników Wilnian Redakcja "Skrzydeł" zwraca się do wszystkich lotników z gorącym apelem: postanowiliśmy ufundować tablicę pamiątkową — Votum do M. B. Ostrobramskiej — z prośbą błagalną o oswobodzenie Wilna spod przemocy najeźdźców powrócenia go na Ojczyzny łono.

Tablica-votum umieszczona zostanie w Katedrze Westminsterskiej. Na prośbę naszą biskup polowy W.P. J.E. Ks.Bp. Gawlina uzyskał zgodę arcybiskupa Westminsteru, by lotnicy polscy ufundowali i umieścili tablicę-votum wewnątrz Katedry.

Zamierzamy połączyć ceremonię zawieszenia votum, ze świętem Dywizjonu Wileńskiego, które odbędzie się w dniu 11 marca br.

Zwracamy się z prośbą o składanie ofiar na ten cel na ręce Redakcji: Chantrey House, Eccleston Str., London, S.W.1. Wierzymy, że na apel nasz odpowiedzą wszyscy lotnicy.

Pisma polskie w Wielkiej Brytanii prosimy o przedruk i pomoc w naszej akcji.

Redakcja "Skrzydeł"

Redakcja "Polski Walczącej" jak najgoręcej popiera inicjatywę i apel bratniego pisma lotniczego. Wyrażamy przekonanie, że myśl lotników winna znaleźć jak najszersze poparcie u żołnierzy całych Polskich Sił Zbrojnych. "Polska Walcząca" przesyła ze swej strony £1 na ten cel.

Dla Polaków w Rosji: £10,738

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £19.5.1 /dziewiętnaście funtów, pięć szyl., 1d./, którą to sumę wyniosły dobrowolne składki żołnierzy . . . Pułku P-Panc. w III. dekadzie stycznia 1944 z przeznaczeniem po połowie na dzieci polskie z Rosji i jeńców polskich w obozach niemieckich.

Z poważaniem

B.P. świetliczarka

* * *

Szanowna Redakcjo,

Na ręce szan. Redakcji przesyłam £3 z prośbą aby szan. Redakcja przeznaczyła je: 1 funta na pomoc Polakom w Rosji, 1 funta na pomoc jeńcom polskim w niewoli niemieckiej, oraz 1 funta na rzecz pomocy Rodakom w Kraju w walce z najeźdźcą.

Łącząc wyrazy szacunku kończę

"Spadochroniarz"

* * *

Przekazuję trzydzieści szylingów na pomoc dzieciom w Rosji.

T.J.

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command—na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu styczniu 1944 r. kwotę £10.13.6.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £22.16.1 /słownie: dwadzieścia dwa funty, szesnaście szylingów i jeden pens/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10.738.11.0 /słownie: dziesięć tysięcy siedemset trzydzieści osiem funtów, jedenaście szylingów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

POSZUKIWANIE

Mieczysław BANASZEK KOZŁOWSKI ma do odebrania list w redakcji "Polski Walczącej."

NA FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ Z NAJEŹDŹCĄ

£1 na fundusz walki czynnej z najeźdźcą.

"Spadochroniarz"

ZARZĄD ZWIĄZKU ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH

zwraca się do wszystkich członków zalegających w opłacie składek oraz do sympatyków o przesyłanie gotówki na adres 45, Belgrave Square, S.W.1., na ręce Skarbnika Związku /za pomocą Money Order, z podaniem nazwiska wpłacającego/. Zbiorowe wpłaty należy przekazywać Lloyds Bank Ltd., Belgravia Branch, Grosvenor Gardens, London, S.W.1., na rachunek "The North-Eastern Provinces of Poland Association" Wszyscy, którym Ziemie Wschodnie są drogie niech pomogą.

Zbiórka książek

Delisle Burns: "After War Peace," V. E. Yarsley: "Plastics," "Industry Looks at the New Order," F. K. Bieligh: "Versailles." C. Garzia: "Planning the War," Axel Heyst: "Wanted a New Vision," C. Reid: "Besides Churchill — who?" 2 zeszyty "World Digest," 6 zeszytów "World Review," i 11 broszur."

N.N.

* * *

Książki przesłane dla bibliotek żołnierskich na Środkowym Wschodzie z Archiwum Lwowskiej Fali im. Juliusza Petryego: M. Szerer: "Federacje a przyszłość Polski," Z. Kossak Szczucka: "Skarb śląski," L. Bielski: "Głos Kraju," C. Poznański: "Federacja . . . ale jaka," T. Śmigielski: "Przemiany sposobów walki," "O cierpieniu," T. Filipowicz: "W przededniu trzeciej Polski," B. Wdały: "Niemcy w Polsce," "Nazywam się milion," "Biuletyn klubu narodowego" /2 egz./, S. Mackiewicz: "Grudzień 1941," "Styczeń 1942," B. Czarnomski: "Sam na sam," C. Jeśman: "Północne podróże podhalańskie," T. Kiełpiński: "Ku jakiej Polsce idziemy."

* * *

Ks. Pogłódek Konst. przesłał: A. Maurois: "Dzieje Anglii," S. Żeromski: "Wierna rzeka," A. Fiedler: "Ryby śpiewają w Ukajali," S. Wyspiański: "Wesele," B. Prus: "Placówka," E. Turkiewicz: "Świat chemii," E. Szczepański: "Z Łodzi do Rzymu," "Psałterz Dawidowy," J. Wiktor: "Oporni," W. Hoffman: "Poprzez ciernie do wolności," "Kurs szoferski," W. Sobieski: "Historia Polski" /2 tomy/, E. Curie: "Maria Curie," Z. Nowakowski: "Przylądek Dobrej Nadziej," A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz," H. Sienkiewicz: "Ogniem i mieczem" /2 egz./, I. Gajewska: "Kierdej."

Dla jeńców: "paczki od serca"

Pracownicy Wydziału Prac Kulturalno Oświatowych Min. Obrony Nar. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego opodatkowania przesyłają za miesiąc styczeń £12.7.0 /dwanaście funtów siedem szyl./.

Do sumy £19.12.0 złożonej przez Biura Prac Kulturalno Oświatowych i odnotowanej w nr. 3 "P.W." z b.r. włączona była suma £1.15.0 od Pracowników Wojskowej Sekcji Film — Foto, zamiast kwiatów na grób ś.p. W. Pikiela, co niniejszym prostujemy.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej," Londyn.

W załączeniu przesyłam kwotę £4 sh.5 z przeznaczeniem na paczki polskim jeńcom wojennym w Niemczech.

Kwota ta została złożona z dobrowolnych składek przez podof. i szereg. Eskadry "B."

Dowódca 3107 Servicing Echelon'u por.A.P.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej," Londyn.

Przesyłam £8 sh.16 d.6 — złożone przez uczestników . . . Kursu Oficerów Oświatowych — na pomoc jeńcom polskim w obozach niemieckich.

/—/ Komendant Kursu

* * *

£1 na "paczki od serca" przesyła

II Sekcja Plutonu SPR Mar. Woj.

* * *

1 funta na pomoc jeńcom polskim w niewoli niemieckiej.

"Spadochroniarz"

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na kwotę £1 sh.3 d.6 na "paczki od serca" dla jeńców wojennych.

Kwota powyższa powstała z drobnych składek żołnierskich.

Z wysokim poważaniem

Oficer Oświatowy ppor. W.M.

* * *

10 szylingów na fundusz "paczek od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

kpr. pchr. R.B.

* * *

Dobrowolne składki żołnierzy . . . Pułku P-Panc. w III. dekadzie stycznia 1944 z przeznaczeniem na jeńców polskich w obozach niemieckich w kwocie £9.12.6.

B.P. świetliczarka

* * *

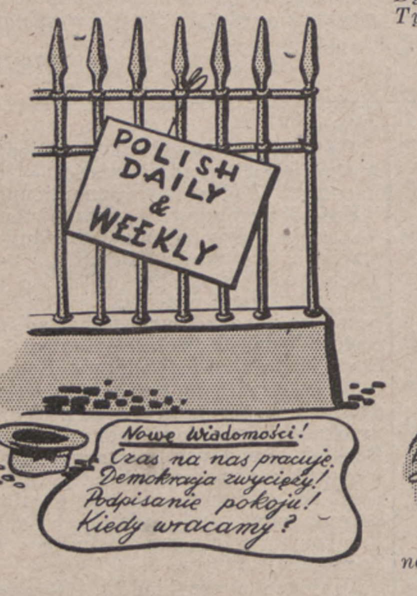
Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £38.14.6 /słownie: trzydzieści osiem funtów, czternaście szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,995.8.3½ /słownie: tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć funtów, osiem szylingów, 3½ pensa/ 50 milrejsów brazylijskich i 2 dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

. . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

PO OGRANICZENIACH PAPIERU . . .



Przyszłość prasy polskiej . . .

CZYNNA REZERWA

Ktoś, podobno, na ostatek,
Zgłosił w Radzie wniosek słynny,
By dla rodzin swych dodatek,
Tylko dostać mógł . . . mąż czynny!
W tym nie widzę żadnej racji
/Co i w Radzie znać powinni/,
Bo wśród naszej emigracji
Wszyscy są . . . jednako czynni.

P. Kul.

GDY PANCERNIAK JEST NIEOGOLONY

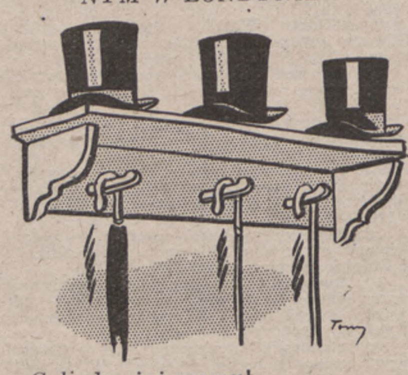


—Co to, karpia jedliście wczoraj na kolację?

—Nie panie poruczniku!

—To ciekawe, bo widzę, że wam ości wystają z brody . . .

PO ZJEŹDZIE MOTORYZACYJNYM W LONDYNIE



Cylindry już mamy! . . .

WYMOWA.

— Dziwny jest wasz język—mówi Polak do Anglika—inaczej się pisze a inaczej się wymawia.

—Niech Pan da przykład.

—Bardzo proszę, n.p. pisze się Knightsbridge a wymawia się "Najsbrydż" — albo Leicester Sq. a czyta się "Lester Sq.".

—No tak, u nas jest różnie. Pisze się też: Curzon a wymawia się — Ribbentrop — Mołotow . .

W ARTYLERII PLOTNICZEJ

— Takiego ognia artyleryjskiego, jak w ubiegłą sobotę, to jeszcze w Londynie nie było—mówi jedna z A.T.S.-ek.

—Jakie są straty nieprzyjacielskie?

— Trzy samoloty!

—A nasze?

— Dziesięć balonów! . . .

PODOBNO!

—Czy wiesz dlaczego zlikwidowano "Wiadomości Polskie"?

—? ? ?

—Podobno papier jest potrzebny na uzupełnienie Karty Atlantyckiej . . .

REZERWA

Niemcy w Rzymie uspakajają ludność tłumacząc, że sytuacja Rzymu jeszcze nie jest beznadziejna. W ostateczności chcą się zwrócić o pomoc . . . do halabardników watykańskich.

W POLSKIM BIURZE

—Dlaczego pani nie przepisała sprawozdania z posiedzenia?

—Panie szefie boję się! A niech nam tak odbiorą papier! Przecież w przyszłości może być naprawdę coś ważnego do napisania . . .

PO CZTERECH LATACH

Pewien żołnierz szkocki powraca z niewoli niemieckiej. Ląduje w Edynburgu i opowiada przeżycia znajomym.

—No jak tam w Niemczech, — pytają — czy da się porównać Szkocję z Niemcami?

—Wykluczone — "Scotland, Scotland über alles"! . . .

JAK SOBIE MAŁY STAŚ WYOBRAŻA:



Ten pan drze koty . . .

STRATEGIA



—Nie wie pani dlaczego ci Amerykanie chodzą teraz po Londynie w białych hełmach?

—No pewno, że wiem! To po to, ażeby wszyscy widzieli, że przyszli biali ludzie . . .

ODWAŻNY

—Wie pan, panie szefie, że mnie jest już wszystko jedno. Raz kozie śmierć — tylko już idźmy! Szczeniak jest dla mnie ogień huraganowy we Włoszech, lipa te naloty, pic—pola minowe. Tylko najgorsze są te przygotowania przed akcją! . . .

—Jakie?

—No, te szczepienia . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

Czołówka Teatralna
"LWOWSKA FALA"
rozpoczyna w dniu 22 lutego br. objazd miejsc postoju Polskich Sił Zbrojnych na terenie Wielkiej Brytanii z programem nr. 7 p.t.:

POCZĄTEK KOŃCA

lekcja historii w 3 rozdziałach z prologiem i epilogiem pióra Wiktora Budzyńskiego.

SPIS RZECZY

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.